Niezwykła wystawa we wrocławskim Muzeum Narodowym

Barbara Lekarczyk-Cisek

Korespondencja z Polski



Od 13 czerwca do 24 września w Muzeum Narodowym we Wrocławiu można podziwiać prawdziwe skarby. Wystawa „Skarbiec. Złotnictwo Archikatedry Wrocławskiej" prezentuje najcenniejsze zabytki sztuki złotniczej, które po raz pierwszy można oglądać z tak bliska. Znajdują się wśród nich m.in. XVI-wieczny ołtarz główny Katedry Wrocławskiej, wspaniałe relikwiarze, figury świętych oraz olśniewające (dosłownie) monstrancje.

Kolekcja jednego z najbogatszych zasobów dawnego złotnictwa w tej części Europy nie tylko ocalała z wojennej pożogi, ale jeszcze została wzbogacona o liczne precjoza, przeniesione pod koniec wojny do skarbca z licznych kościołów znajdujących się na terenie Ostrowa Tumskiego. Niektóre obiekty uległy rozproszeniu, jak słynny renesansowy ołtarzyk biskupa Johanna V Thurzona, trafił do oo. paulinów na Jasną Górę, ale możemy go oglądać w ramach tej ekspozycji.

Ołtarz główny Katedry, fot. materiały Muzeum Narodowego.

Co można zobaczyć na wystawie?

Otóż wyeksponowano ponad 80 wyrobów złotniczych, m.in. relikwiarze, monstrancje, figury, pastorały, kielichy, lampy wieczne i kadzielnice.

Wśród wystawionych zabytków są dzieła „ikoniczne", od wieków kojarzone z katedrą, jak relikwiarze św. Jana Chrzciciela – dzieło Caspara Pfistera z 1611 r. z przedstawieniem głowy św. Jana na misie i relikwiarz ręki świętego z 1512 r. – mówi **Jacek Witecki**, kurator wystawy. *Są dzieła doskonałe artystycznie, np. kielich fundacji kanonika Johannesa Hoffmanna, z 1501 r., który zachwyca maestrią emaliowanych plastycznych dekoracji, kielich biskupa Andreasa Jerina autorstwa Michaela Schneidera czy dzieła Paula i Fabiana Nitschów. Dopełnieniem ekspozycji są szaty i elementy stroju liturgicznego, m.in. ornat i pluwiał, wykonane przez wrocławskie siostry urszulanki w 1792 r. dla uświetnienia jubileuszu 500-lecia opactwa w Krzeszowie, buty biskupie z przełomu XVIII i XIX w. oraz ozdobne rękawiczki – elementy ubioru liturgicznego, które wyszły dziś z użycia i zobaczyć je można już tylko w zbiorach skarbca.*

Matka Boska Niepokalanie Poczęta, Johann Klinge 1736, fot. B.-Lekarczyk-Cisek.

Na szczególną uwagę zasługuje pełnowymiarowa rekonstrukcja słynnego srebrnego ołtarza głównego Katedry, z 1591 r. Został on zdemontowany pod koniec II wojny światowej, przed oblężeniem miasta i obecnie jest po raz pierwszy zademonstrowany po renowacji. Zaginęły wprawdzie srebrne blachy stanowiące tło, ale i tak prezentuje się wspaniale. Ołtarz ufundował biskup Andreas Jerin, a wykonali go dwaj renomowani artyści wrocławskiego manieryzmu: złotnik Paul Nitsch oraz malarz Bartholomaeus Fichtenberger. Od chwili jego poświęcenia, co miało miejsce 4 maja 1591 roku, ołtarz wart 10 tysięcy talarów, co było kwotą zawrotną jak na owe czasy, wzbudzał powszechny zachwyt swoją urodą, ale także podziw dla hojności fundatora. Wykonany przez luterańskich artystów, stał się chlubą pierwszej katolickiej świątyni Śląska. Na wrocławskiej wystawie można sobie wyobrazić, jakie wrażenie robił ołtarz z pięknymi namalowanymi przez Fichtenbergera skrzydłami, dzięki multimedialnej ekspozycji. Skrzydła owe powróciły do Wrocławia, dzięki staraniom biskupa Bolesława Kominka i obecnie są eksponowane w Muzeum Archidiecezjalnym.

Na uwagę zasługują także liczne relikwiarze – prawdziwe arcydzieła sztuki złotniczej, różniące się od siebie kształtami i stylem wykonania. Są wśród nich m.in. relikwiarz św. Jana Chrzciciela, patrona Archikatedry – dzieło Caspara Pfistera, herma relikwiarzowa św. Wincentego Tobiasa Plackwitza z 1723 roku, relikwiarz św. Konstancji z 1. połowy XVIII wieku.

Komplet ołtarzowy krucyfiks, sześć świeczników, Christian Mentzel – Starszy 1692-95, fot. B. Lekarczyk-Cisek.

Uwagę zwracają także figury świętych, m.in. Chrystusa Zmartwychwstałego Caspara Pfistera z 1625 roku czy Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej Johanna Klinge z 1736 roku. Ponadto podziwiać można wspaniały pastorał biskupa Georga Koppa, wykonany w 1906 roku przez Wilhelma Rauschera, który przedstawia pełnoplastyczną figurę św. Jerzego na koniu, pokonującego smoka. Zawiera także przedstawienie gotyckiej kaplicy, w której arkadach znajdują się figury świętych biskupów i zakonników. Pastorał ów – symbol całej wystawy, który odnajdziemy również na okładce okazałego katalogu – był prezentem duchowieństwa Fuldy (Hesja) dla biskupa kardynała Georga Koppa, wręczonym mu z okazji 25-lecia konsekracji.

Wiele spośród przedstawionych obiektów, w tym niezwykle piękna monstrancja z przełomu XVII i XVIII wieku, wysadzana rubinami i brylantami, nadal służą w Archikatedrze Wrocławskiej podczas szczególnie podniosłych obrzędów religijnych.

Wystawę „Skarbiec. Złotnictwo Archikatedry Wrocławskiej”, której kuratorem, a także autorem katalogu, jest Jacek Witecki.

Galeria



Herma relikwiarzowa św. Wincentego, Tobias Plackwitz 1723, fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Monstrancje – pierwsza po prawej wykonana przez Ericha Adolfa ok. 1940 r., fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Relikwiarz św. Konstancji, 1. poł. XVIII w.



Relikwiarz św. Felicyty, Rzym 1676 r., fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Relikwiarz św. Jana Chrzciciela, Caspar Pfoster 1611 r., fot. B. Lekarczyk-Cisek



Ołtarzyk relikwiarzowy biskupa Johanna V. Thurzona, 1511 r,.
fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Pastorał biskupa Georga Koppa, Wilhelm Rauscher 1906 r,.
materiały Muzeum Narodowego.

Zdążyłam na swój pociąg

Rozmowa z Anną Gordijewską – dziennikarką „Kuriera Galicyjskiego” we Lwowie, aktorką i przewodnikiem po mieście.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

Janusz M. Szlechta: Cały świat śledzi z niepokojem to, co dzieje się na wschodzie Ukrainy. Rosja zabrała Ukrainie Krym, trwają walki w Donbasie. Czy czujecie tę wojnę we Lwowie? Czy nie boicie się, co dalej będzie, jak to się zakończy?

Anna Gordijewska: Kiedy „wybuchnął" Majdan – była euforia. Wyszli tam protestować głównie młodzi ludzie, była nadzieja, że coś się zmieni, że w kraju będzie lepiej. Ale kiedy przerodziło się to w walki, kiedy rozpoczął się konflikt zbrojny z Rosją i w grę weszły duże pieniądze – bo rozpoczęła się również wojna oligarchów – ludzie zaczęli się bać.

W Donbasie codziennie giną ludzie, więc codziennie towarzyszy nam lęk o to, jak się ta wojna skończy… Tego nikt nie wie. My w telewizji widzimy to samo, co oglądają ludzie w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Jeśli nie ma potrzeby, nikt nie jedzie tam, gdzie trwają walki. Ja tam nie byłam…

We Lwowie bezpośrednio wojny nie widać. Ale to jest przecież jeden kraj, więc odczuwamy wojnę przede wszystkim emocjonalnie i ekonomicznie. Zarabiamy mniej, wzrosło bezrobocie. W rodzinach, w których są synowie, panuje strach przed tym, co będzie, bo jest ogłoszona mobilizacja. Chłopcy są brani do armii. Część młodych mężczyzn wyjechała za granicę, także do Polski; niektórzy nie odbierają „powistek", czyli powołań do wojska. Wielu młodych chłopaków mówi: *My*

jesteśmy patriotami, gotowi jesteśmy pójść walczyć, ale chcemy wiedzieć, dla kogo mamy walczyć! Panuje bowiem wielki chaos w ludzkich głowach i sercach. Wojna ta często odbierana jest jako wojna oligarchów. Rosja nie przyznawała się, że wysłała na Krym wojska specjalne, aby go zdobyć. My wiemy tylko tyle, że pojawiają się nagle „zielone ludziki", a w sklepach można kupić wojskowe mundury.

Dla nas jest jasne jedno: Krym został zabrany Ukrainie! Nie ma bezpośredniego połączenia z Rosją, więc Rosja będzie walczyć, dopóki nie zdobędzie korytarza we wschodniej Ukrainie. We Lwowie obserwujemy natomiast, że jest coraz więcej osób rosyjskojęzycznych. Są to na ogół uciekinierzy ze wschodniej Ukrainy. Do czasów wojny we Lwowie dominował język ukraiński. Oczywiście było sporo turystów, w tym Polaków, więc nasz język też był często słyszany. Kiedy prezydentem był Wiktor Juszczenko, zaczęła się walka z językiem rosyjskim i w pewnym momencie jakby zniknął z oficjalnego obiegu.

JSz: A czy ludzie ze Lwowa uciekają, próbują znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce do życia – myślę tu głównie o naszych rodakach?

AG: Oczywiście, że uciekają, zresztą nie tylko nasi. Polacy z Polski zawsze mieli większe możliwości wyjazdu za chlebem, czy z innych powodów, aniżeli Polacy ze Lwowa. Po II wojnie

światowej wielu Polaków zostało zmuszonych do opuszczenia Lwowa, nie mieli wyboru. W późniejszych latach ci, którzy tutaj zostali, uświadamiali sobie, że jednak żyją w obcym kraju. Stąd też pojedynczo, lub całymi rodzinami – jeśli tylko było to możliwe – wyjeżdżali do Polski i próbowali ułożyć sobie tam życie. Dużo osób opuściło Lwów po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Podobnie jest dzisiaj.

Aby zostać we Lwowie, trzeba być człowiekiem z charyzmą. Jeżeli ktoś żyje nie tylko dla siebie, widzi potrzebę udzielania się i pracy dla innych, zawsze znajdzie swoje miejsce. Ale też sporo jest takich rodaków, którzy nigdzie nie wyjechali, bo nie mieli dokąd, do kogo, nie mieli pomysłu na wyjazd albo odwagi.

JSz: A Ty… nie próbowałaś wyjechać do Polski? Na pewno znalazłabyś tam swoje miejsce, masz przecież wielu przyjaciół, jesteś osobą znaną w kręgach dziennikarskich…

AG: Nie ukrywam, że miałam dylemat, co robić? Szybko jednak uświadomiłam sobie, że jednak nie, nigdzie nie jadę… Urodziłam się przecież we Lwowie – to jest moja mała ojczyzna. Uczyłam się w polskiej szkole imienia św. Marii Magdaleny, która w 2016 roku będzie obchodzić piękny jubileusz 200-lecia działalności. Niewielu Polaków na świecie może się dzisiaj pochwalić, że uczyli się w szkole z tak bogatymi tradycjami. W tej szkole uczyło się wielu znakomitych Polaków.

W czasach Związku Radzieckiego we Lwowie były dwie polskie szkoły: szkoła imienia Marii Magdaleny i imienia Marii Konopnickiej – założona już po II wojnie. Sowieci uznali, że Polakom wystarczy jedna szkoła i chcieli jedną z nich zamknąć – wybór padł na tę, w której ja się uczyłam. Dzisiaj gorąco dziękujemy naszym rodzicom za to, że mieli odwagę jej bronić. Specjalna delegacja, złożona z matek, pojechała do Moskwy prosić, aby nie zamykano szkoły, bo jest bardzo potrzebna. W tej delegacji była również moja mama Maria (z domu Wołoszyńska). Mama była zawsze kobietą zdecydowaną i śmiałą w swoich wypowiedziach, decyzjach i poczynaniach. Władze sowieckie powiedziały wtedy tak: my wam zostawimy tę szkołę, ale pod warunkiem, że stworzycie w niej muzeum jakiegoś polskiego bohatera. Wówczas rodzice zaproponowali, aby utworzyć muzeum Feliksa Dzierżyńskiego.

Teraz może się to wydawać śmieszne, a nawet niesamowite, ale należy pamiętać, jakie to były czasy. Brzmi to jak paradoks, ale właśnie Feliks Dzierżyński uratował szkołę przed zamknięciem. Co jakiś czas przychodziła komisja i pytała kierownictwo szkoły: jest muzeum? No jest – mówiła dyrektorka. A kto jest bohaterem tego muzeum? – pytała dalej komisja. No, Feliks Dzierżyński – padała odpowiedź. Członkowie komisji z uznaniem kiwali głowami i odchodzili. Ja, jako uczennica, nigdy w tym muzeum nie byłam. Zresztą moi koledzy i koleżanki również. Ale dzięki temu muzeum szkoła przetrwała…

JSz: No, a wcześniej nie próbowałaś wyrwać się ze Lwowa w świat, zmienić coś w swoim życiu?

AG: Moja młodość, ta piękna i szalona nieco, przypadała na lata, kiedy w Polsce był okres strajków, potem stan wojenny, potem czas lizania ran po stanie wojennym… Uczyłam się we Lwowie, bo nie miałam żadnego wyboru, żadnej możliwości wyjazdu dokądkolwiek. My, Polacy, mieliśmy określony status. Nie odczuwałam, aby mnie ktoś śledził czy prześladował, ale niemal na każdym kroku odczuwaliśmy to, że jesteśmy inni. Na studia dostawali się najzdolniejsi oraz dzieci kołchoźników, wojskowych, członków komunistycznej partii… Polacy byli gdzieś tam daleko w kolejce, a więc szanse na podjęcie studiów były niewielkie.

JSz: A czy mogliście normalnie, na co dzień mówić po polsku? Nie ponosiliście konsekwencji z tego powodu, że mówiliście w tym języku?

AG: Język polski w tym mieście był popularny i potrzebny, bo było to miasto na pograniczu. Używali go nawet Ukraińcy na różnych szczeblach, którzy uczyli się go w przedwojennych gimnazjach. Nie było wówczas filologii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim, tylko katedra filologii słowiańskiej. Nasza młodzież miała wówczas szanse wyjazdu na studia polonistyczne jedynie do Wilna. Gdybym wtedy wyjechała do Polski, na pewno moje

życie ułożyłoby się inaczej. Tuż przed stanem wojennym wyjechała do Polski moja mama, nieco później moja starsza siostra Jolanta.

JSz: Czy dziennikarstwo to był Twój świadomy wybór i chciałaś się poświęcić tej profesji? Myślałaś już wówczas o pracy w mediach polskich czy rosyjskojęzycznych?

AG: Tak, to była moja przemyślana decyzja. Nie mam problemu z pisaniem w języku ukraińskim czy rosyjskim, ale myślałam o pracy przede wszystkim w mediach polskich. Skończyłam studia dziennikarskie w Akademii Poligraficznej we Lwowie, ze specjalizacją „redaktor naukowo-technicznej literatury i informacji". Kiedy zdobyłam dyplom, dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Mogłam pisać pracę doktorską, bo zostałam wytypowana przez mojego promotora, ale wybrałam doktorat z… macierzyństwa. Urodziłam córeczkę Kasię, a trzy lata później Elizę.

W tym czasie mój mąż, który był wykładowcą w Akademii Poligraficznej, bardzo intensywnie pracował, gdyż chciał obronić doktorat. Ja poświęciłam się więc wychowywaniu dzieci i domowi. I byłam bardzo szczęśliwa.

Kiedy dziewczynki już troszkę podrosły, zaczęłam szukać pracy, ale chciałam, aby była to praca związana ze środowiskiem

polskim. Byłam przez wiele lat odseparowana od tego środowiska, obracałam się wśród lwowiaków różnych narodowości, czułam więc potrzebę powrotu do środowiska polskiego. Moje córki poszły oczywiście do polskiej szkoły im. Marii Magdaleny. Szybko zostały harcerkami, więc wówczas zaczęłam udzielać się w harcerstwie.

Pewnego razu dyrektorka szkoły Marta Markunina zapytała mnie, czy nie chciałabym studiować w Polsce. Warunek był taki, że jak skończę studia i wrócę do Lwowa, to będę pracować w Polskim Radiu Lwów.

Ojciec powiedział wówczas: *Twój pociąg odjeżdża i jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć, to musisz do niego wsiąść, nawet do ostatniego wagonu*. Natomiast mój mąż powiedział: *Kiedy urodziłaś drugą córkę – ja broniłem doktorat; ty zrezygnowałaś wówczas ze swojego doktoratu. Teraz, kiedy jest taka możliwość, skorzystaj z niej i jedź na studia do Polski. My sobie tutaj damy radę*.

JSz: No i co, wsiadłaś do tego pociągu, który powiózł Cię do Polski i otworzył przed tobą inny świat?

AG: Bardzo dziękuję za to moim ukochanym mężczyznom, którzy byli i są dla mnie prawdziwą opoką. Teraz wiem, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba mieć wsparcie bliskich ludzi. Nie była to

łatwa decyzja, nie było mi też łatwo studiować, ale dzięki tej decyzji moje życie bardzo się zmieniło – oczywiście na lepsze.

Skończyłam Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie. Studia trwały dwa lata, w trybie stacjonarnym. Zazwyczaj cztery dni byłam w Lublinie, a na koniec tygodnia jechałam do Lwowa, do rodziny. Pamiętam, jak dojeżdżałam do Lwowa autobusem, często pełnym handlarzy z worami załadowanymi towarem.

JSz: Co Ci te studia dały, czego się tam nauczyłaś? Czy było to przydatne później w twojej codziennej pracy?

AG: Była to naprawdę dobra szkoła życia i dziennikarstwa. Mieliśmy wspaniałych wykładowców – byli to znani dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni. To był czas, kiedy do telewizji i do mediów zaczęły wkraczać komputery.

Dyrektor Studium Komunikowania, ks. prof. Leon Dyczewski, kiedy nas żegnał i wręczał nam dyplomy po jego ukończeniu w roku 1997, powiedział o mnie: *Ta pani wraca do Lwowa i będzie nowoczesną dziennikarką, będzie mogła korzystać z komputerów i na pewno będzie ważnym łącznikiem Lwowa z Polską*.

Miałam dodatkowy powód do dumy, bo dyplom ukończenia

studium wręczył mi sam Krzysztof Zanussi, znakomity reżyser filmowy, który również prowadził z nami zajęcia. Świadkami tego wydarzenia były moja mama i siostra.



Lwów

JSz: Pracę dyplomową zapewne pisałaś o Lwowie, bo… nie widzę innej możliwości.

AG: Oczywiście. W pierwszej chwili stwierdziłam, że będę pisać o Lwowie, tak od serca. Po rozmowie z moją promotorką Anną Kaczkowską – jedną z najlepszych wówczas dziennikarek Radia Lublin – doszłam do wniosku, że temat zawężę i opiszę Cmentarz

Łyczakowski.

W latach 90. polskie władze rozpoczęły trudne rozmowy ze stroną ukraińską na temat renowacji tego cmentarza. Planowano ukończenie prac w roku 1998. Kiedy pisałam tę swoją pracę, któregoś dnia przyszłam na cmentarz. Prowadzono właśnie prace ekshumacyjne. Zobaczyłam ciała obrońców Lwowa, tak zwanych Orląt, którzy zmarli śmiercią naturalną wiele lat później i byli pochowani nieco dalej od tych, którzy zginęli w walce. W latach 70. przez te nagrobki została poprowadzona asfaltowa droga.

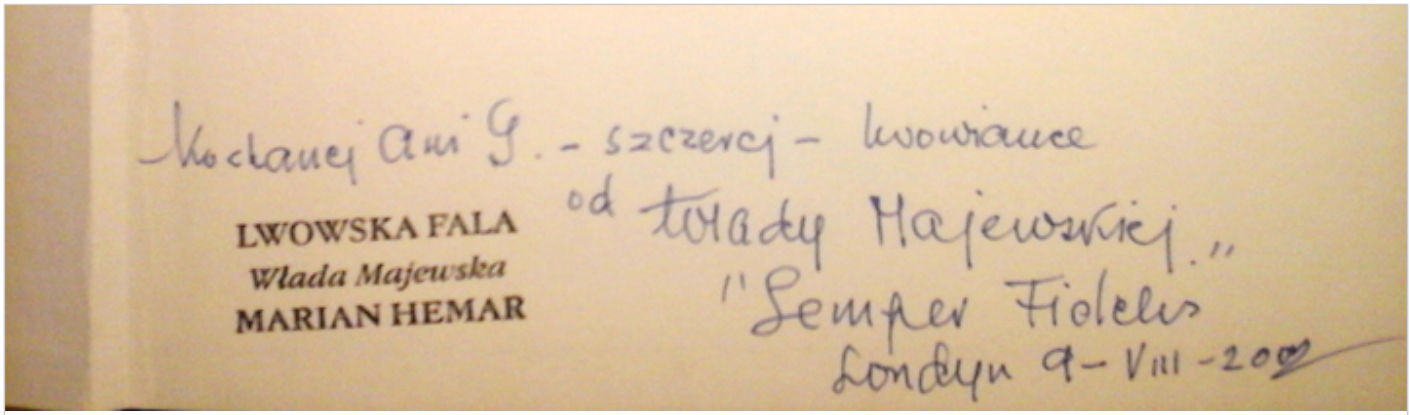
Przyszłam z mikrofonem, aby nagrywać rozmowy. Przy ekshumacji pracowała wówczas ekipa katyńska pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli z Torunia. Nigdy nie zapomnę tego momentu: zobaczyłam rozkopane groby, ludzkie czaszki na wierzchu, kości rąk i… po prostu przestraszyłam się. Prof. Kola powiedział wtedy do mnie: *Niech się pani nie boi tych ludzi w grobach. Trzeba się bać żywych, którzy nie zawahali się zbudować drogi na grobach ludzi*.

Wiele razy przychodziłam potem na cmentarz i zaprzyjaźniłam się z tą ekipą. Kiedy wreszcie w 2005 roku nastąpiło otwarcie odrestaurowanego Cmentarza Łyczakowskiego i dla mnie zabrakło miejsca w pierwszych rzędach podczas tej uroczystości, cała ekipa z prof. Kolą wstała i zaprosili mnie do siebie. To są momenty, których nie sposób zapomnieć. Tytuł mojej pracy

brzmiał: *Wspólnota żywych i umarłych*. Opisałam historię Cmentarza Łyczakowskiego wraz z Cmentarzem Orląt i wiele miejsca poświęciłam właśnie ekshumacji.

JSz: Skończyłaś studia w Lublinie i wróciłaś do Lwowa. Czy właśnie wtedy trafiłaś do Polskiego Radia Lwów?

AG: Tak, podjęłam pracę w radiu. Była to praca w pełni społeczna, nikt tam nie miał etatu. Radio powstało w 1992 roku, więc już w trakcie studiów współpracowałam z tą rozgłośnią – przede wszystkim przekazywałam korespondencje z Lublina. Kiedy ruszałam na miasto z mikrofonem w ręku i słuchałam znakomitych ludzi, uświadomiłam sobie, że najważniejszy dla mnie jest Lwów. Starałam się gromadzić jak najwięcej informacji o tym mieście, czym ono było kiedyś dla Rzeczypospolitej, dla Polaków. Spotykałam wielu ludzi, którzy pamiętali dawny Lwów i dawne życie na Kresach, nagrywałam ich. Cieszę się, że nagrałam tylu wspaniałych ludzi, że miałam możliwość ich spotkać, dotknąć ich, porozmawiać z nimi.



Dedykacja od Władysławy Majewskiej.

Zaczęłam nadawać korespondencje ze Lwowa do różnych rozgłośni w Polsce, ale także za granicą – w tym do Chicago oraz do polskiej sekcji Radia BBC w Londynie. Dostałam zaproszenie do Anglii, gdzie spotkałam się z legendą przedwojennego Radia Lwów Władą Majewską. Była wówczas ostatnią żyjącą osobą, która w tym radiu pracowała. Podczas nagrania wywiadu pani Włada rozpłakała się i powiedziała: *Wszystko bym oddała, aby tylko wrócić do Lwowa*. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że tamtego Lwowa już nie ma, że to jest już inne miasto. A ona wówczas zauważyła: *Tak, to prawda, ale miasto to nie są tylko kamienice. Miasto to przede wszystkim ludzie, którzy tworzyli ten niesamowity Lwów, którzy decydowali o jego klimacie i charakterze*. To spotkanie utkwiło mi w pamięci do końca życia. Na półce pozostało kilka książek, podarowanych mi przez nią z dedykacją… Władysława Majewska zmarła w wieku stu lat.

Kiedy ci znani i mniej znani ludzie zaczęli odchodzić, nagle zaczęłam mieć pretensje do siebie, no bo przecież mogłam spotkać się z nimi, wysłuchać ich, nagrać, ocalić wiele ciekawych informacji, refleksji i przeżyć.

JSz: Wiem o czym mówisz… Ja już dawno uświadomiłem sobie, że nie ma takiej możliwości, aby do wszystkich ludzi, którzy nas

zadziwiają czy zachwycają, dotrzeć, aby z nimi porozmawiać i utrwalić ich wiedzę i refleksje. Jeśli uda nam się zatrzymać w czasie chociaż niektórych z nich, to już jest powód do satysfakcji.

AG: Najpierw, kiedy jesteśmy dziećmi, widzimy, że odchodzą ludzie w wieku naszych dziadków, a potem w wieku rodziców. Teraz odchodzą nasi rówieśnicy… To zaczyna się rozumieć dopiero wówczas, kiedy człowiek osiąga wiek dojrzały. Dlatego zaczynam się śpieszyć, aby spotkać i nagrać jak najwięcej wspaniałych ludzi. Wiele wypowiedzi tkwi w mojej głowie, zmuszają mnie do refleksji. To jest to, co nas rozwija. Ksiądz Jan Twardowski napisał genialne słowa w swoim wierszu: *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą…*

JSz: Ile lat pracowałaś w Polskim Radiu Lwów? Kiedy i dlaczego z niego odeszłaś?

AG: Praca w radiu mnie fascynowała, wszystko co robiliśmy dawało nam radość, odczuwaliśmy, że jesteśmy potrzebni w polskim środowisku we Lwowie. Łączyły nas młodość, pasja i satysfakcja z pracy społecznej. Przepracowałam w radiu prawie 20 lat. Odeszłam na początku 2014 roku.

Zawsze jest tak, że coś się kończy… Postanowiłam poszukać dla siebie innego miejsca. Nie wolno bać się wyzwań, czegoś nowego. Jeśli coś przestaje się układać albo czujesz, że

drepczesz w miejscu, to warto to zmienić. Odeszłam z radia i po kilku miesiącach dostałam propozycję pracy w „Kurierze Galicyjskim”.

Nie przyszło mi to lekko. Na szczęście za mocno nie bolało, bo jednak zostałam w mediach i robię to, co robiłam wcześniej, tylko troszeczkę inaczej.

JSz: Czym zajmujesz się w „Kurierze Galicyjskim”, jaką problematyką?

AG: „Kurier Galicyjski” powstał 8 lat temu. Jego założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym jest Mirosław Rowicki. On sam mówi, że kiedyś opisze swoją historię w pamiętnikach – zostawię więc to jemu. „Kurier Galicyjski” to największe polskie medium na Ukrainie. To nie tylko „papierowa” gazeta o nakładzie przekraczającym 10 tysięcy egzemplarzy. To także portal internetowy z powodzeniem spełniający rolę internetowej gazety codziennej – www.kuriergalicyjski.com. Wydajemy też pismo dla dzieci „Polak Mały”. Dwa lata temu powstała nasza telewizja, dostępna na razie w internecie na kanale YouTube: www.youtube.com/user/Kuriergalicyjski.

Niedawno ruszyło we Lwowie nasze radio, które współpracuje z Radiem Wnet w Warszawie, prowadzonym przez Krzysztofa Skowrońskiego. Na pewno będziemy się rozwijać. Na łamach

gazety czytelnik może znaleźć różne tematy: od kulturalnych, sportowych, historycznych, poprzez społeczne, po aktualne wydarzenia polityczne. Jeśli trzeba przygotować bieżące informacje czy materiały to oczywiście to robię, ale przede wszystkim postanowiłam robić dalej to, co robiłam przez tyle lat w radiu – chcę zachować w pamięci swojej i ludzi te postacie, które są tego warte, bo są – bądź byli – wielkimi Polakami. Staram się też odnajdywać i nagrywać ciekawych ludzi z Kresów.

W pewnym momencie w „Kurierze Galicyjskim" moim żywiołem stała się telewizja. Film, pokazujący człowieka i zawierający jego wypowiedzi, ma zdecydowanie większą wartość dokumentalną, aniżeli sam głos nagrany na taśmie czy na elektronicznym rejestratorze. Staram się więc takie materiały filmowe obecnie realizować.

Rok temu, podczas Przeglądu Filmów Polskich „Pod Wysokim Zamkiem", odbyło się spotkanie z legendą polskiego kina Danutą Szaflarską. Miałam możliwość zadania kilku pytań słynnej aktorce i oczywiście zapytałam, czy była kiedykolwiek we Lwowie. Odpowiedziała, że dawno marzyła o tym, aby przyjechać do naszego miasta. Przyznała się, że przed wojną miała propozycję studiowania we Lwowie, ale nie zdążyła… A wojna zmieniła wszystkie plany. To wspaniała aktorka, kobieta pełna pogody ducha – z takich ludzi trzeba brać przykład. jak uśmiech upiększa każdego człowieka. W wieku 99 lat przyjechała po raz

pierwszy do Lwowa! Czyli nigdy nie jest za późno.

Później obejrzeliśmy film dokumentalny o jej życiu i twórczości. Wyszłam ze spotkania zauroczona panią Danutą i natchniona. Spotkałam przy wyjściu z kina Zbigniewa Chrzanowskiego – aktora, reżysera i dyrektora Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Zapytałam go, czy zgadza się na to, abym nakręciła film o nim i o teatrze…

Obecnie pracuję nad największym swoim dziełem – 30-minutowym filmem dokumentalnym, który będzie nosił tytuł „Moje magiczne miejsca". Jest to sentymentalna wędrówka Zbigniewa Chrzanowskiego, z którym odwiedzamy najważniejsze miejsca związane z historią i działalnością przedwojennej sceny polskiej we Lwowie. Film ten był przedstawiony na festiwalu filmów emigracyjnych EMIGRA w Warszawie.

JSz: Czy „Kurier Galicyjski" jest dostępny w Polsce?

AG: Jest to aktualnie największe polskie pismo dostępne w całej Ukrainie. Ma się dobrze i nawet się rozwija. Jest dostępne w Warszawie i Przemyślu. Można też zamówić prenumeratę do Polski i innych krajów za pośrednictwem naszej redakcji. Wystarczy wysłać e-mail na adres kuriergalicyjski@wp.pl. Jeśli ktoś chce zobaczyć, co i jak robimy, to mamy, jak już wspomniałam, własny portal internetowy:

www.kuriergalicyjski.com Tam też można przeczytać każdy numer „Kuriera” w pdf-ie, a także obejrzeć nasze filmy. Mamy sporo współpracowników w Polsce, piszą też do nas pasjonaci z całego świata. Główna siedziba redakcji jest we Lwowie.

JSz: Jakie inne polskie media – oprócz Polskiego Radia Lwów i „Kuriera Galicyjskiego” – istnieją we Lwowie i innych miastach Ukrainy?

AG: We Lwowie nie ma aktualnie innych polskich mediów, oprócz tych, które wymieniłeś, jeśli nie liczyć wydawanego w niewielkim nakładzie kwartalnika Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – „Nasze Drogi”. Nie mamy tu też żadnych gazet z Polski. Nie ma już, niestety, polskiej księgarni, która istniała w czasach Związku Radzieckiego. Niestety teraz, kiedy ludzie często nie mają na chleb, a ceny polskich książek są wysokie – po prostu nie stać ich na taki wydatek. Dzięki internetowi nie ma dzisiaj problemu ze słuchaniem polskich stacji radiowych czy oglądaniem programów telewizyjnych – niestety, większość z nich jest zakodowana.

Na Ukrainie jest kilka polskich rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Poza Lwowem i Stanisławowem, gdzie nadawana jest w eterze, tworzona przez „Kurier Galicyjski”, audycja „Na polskiej fali”, istnieje też polska rozgłośnia w Berdyczowie. Polskie audycje telewizyjne nadawane są w Winnicy, Żytomierzu

i Łucku.

Wydawane są też polskojęzyczne gazety. W Winnicy, na Podolu, jest to miesięcznik „Słowo Polskie”, a w Kijowie dwutygodnik „Dziennik Kijowski” i kwartalnik „Krynica”. W mieście Ostróg wydawane jest „Wołanie z Wołynia”, a w Berdyczowie – „Mozaika Berdyczowska”. W Łucku wydawane jest dwujęzyczne pismo „Monitor Wołyński”. Istnieje też kilka lokalnych czasopism, które jednakże są wydawane w niewielkim nakładzie.

JSz: Aniu, poznaliśmy się latem, w roku 1998, w Clifton w stanie New Jersey, kiedy przyjechałaś do USA na zaproszenie Iwony Rachelskiej, ówczesnej szefowej telewizyjnego programu Studio 3. Udzieliłaś mi wywiadu, który ukazał się na łamach „Nowego Dziennika”. Mówiłaś wówczas pięknie o swoich trzech miłościach… Przypomnij zatem, jakie są te twoje miłości.

AG: Miałam wtedy trzy swoje miłości: polski Lwów, polską szkołę imienia Marii Magdaleny i Polskie Radio Lwów. Radio Lwów na pewno pozostanie dla mnie ważnym miejscem, bo oddałam mu prawie 20 lat swojego życia. Wielokrotnie groziło mu zamknięcie. Ratowaliśmy je dzięki wsparciu przyjaciół z zewnątrz – między innymi dzięki tobie, Januszu. Dzisiaj i zawsze będę tym wszystkim osobom wdzięczna, że pomagali nam ratować radio. A przecież była to nasza praca społeczna, płynąca z potrzeby serca. Dzisiaj doszła jeszcze czwarta miłość – do „Kuriera

Galicyjskiego”.

Moje córki w pewnym momencie nawet się na mnie obraziły, że tak mówiłam, ale wyjaśniłyśmy sobie, że dom i rodzina to jest moja sfera prywatna, która podlega ścisłej ochronie i oczywiście jest dla mnie najważniejsza.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

JSz: W 2002 roku spotkaliśmy się ponownie, tym razem w Tarnowie, podczas X Światowego Forum Mediów Polonijnych, które przez dwadzieścia lat organizowało Małopolskie Forum

Współpracy z Polonią. Ja przyjeżdżałem jako dziennikarz nowojorskiego „Nowego Dziennika”, a ty jako dziennikarka Polskiego Radia Lwów. Wróćmy więc na chwilę do tamtych czasów, Forum dla dziennikarzy polskich rozsianych po świecie było bowiem bardzo ważnym wydarzeniem. Nie sposób o nim zapomnieć…

AG: Forum było ogromnie ważnym wydarzeniem, połączyło bowiem polskich dziennikarzy ze Wschodu z tymi z Zachodu. Dzięki Forum stało się coś, co było praktycznie nieosiągalne, ba, trudno było sobie coś takiego wyobrazić. My ze Lwowa, dzięki Forum, zyskaliśmy możliwość bezpośredniego kontaktu z kolegami z krajów zachodnich, także z USA. Te kontakty znakomicie owocują do dziś. Zawiązały się liczne przyjaźnie, nawzajem odwiedzamy się w różnych krajach, wspomagamy się dziennikarsko. Jak ktoś zajrzy na chwilę do Polski, natychmiast pędzimy jeden do drugiego, aby bodaj na chwilę się spotkać. Czegoś takiego nie mogłabym nawet wyśnić…

To, co robiliśmy na Forum Mediów Polonijnych, co przeżywaliśmy, czego uczyliśmy się – dzisiaj mogę to zupełnie szczerze powiedzieć – jest to nasz ogromny kapitał, który procentuje do dziś. Cały czas byliśmy przed kamerami i mikrofonami polskich stacji telewizyjnych i radiowych, udzielaliśmy wywiadów nawzajem jeden drugiemu – i to mnie również bardzo inspirowało. Dzisiaj bardzo żałuję, że wówczas

nie nagrałam wywiadów z osobami, które już odeszły. Właśnie dopiero wtedy, kiedy ktoś odejdzie na zawsze, łapiemy się za głowę i mówimy: a dlaczego nie nagrałam z nim rozmowy, nie utrwaliłam tego, co ten człowiek miał do powiedzenia?!

Dzięki Forum moje Radio Lwów nawiązało współpracę z polskim radiem w Chicago. Co środę jeden z dziennikarzy telefonował do nas i przekazywał informacje nie tylko o tym, co działo się w środowisku polonijnym, ale również o normalnym życiu Ameryki.

Kiedy przyjechał do Lwowa Jan Paweł II w 2001 roku, dzwonili do nas i pisali koledzy z Ameryki, ze Szwecji czy z Argentyny i pytali, jak wygląda Lwów przed przyjazdem papieża, co robimy, jak się przygotowujemy… Bo akredytowani dziennikarze przyjechali do Lwowa dopiero w dniu przyjazdu papieża. Podobnie było wówczas, kiedy wreszcie nastąpiło otwarcie Cmentarza Orląt Lwowskich w 2005 roku. Aby oddać atmosferę, wiedzieć coś więcej, trzeba być jednak na miejscu, trzeba w tym wydarzeniu uczestniczyć… a my byliśmy na miejscu.

JSz: Jedną z najstarszych istniejących polskich instytucji kulturalnych we Lwowie jest Polski Teatr Ludowy, który został założony w 1958 roku. Od wielu lat jesteś związana z tym teatrem, grywasz w różnych sztukach. Jak to się stało: przypadek czy autentyczna potrzeba zaprowadziła Cię na scenę?

AG: To było w maju w roku 2001. Zadzwoniła do mnie Jadwiga Pechaty, moja koleżanka, od zarania dziejów grająca w tym teatrze. *Aniu, przygotowujemy „Kartotekę" Różewicza – powiedziała – i potrzebujemy pilnie, aby ktoś zagrał dziennikarkę. Pomyślałam sobie, że ty będziesz świetna w tej roli* – dodała. Byłam zaskoczona, zmieszana. *Nie wiem, czy sobie poradzę?* – próbowałam się bronić. *Nie martw się, poradzisz sobie* – przekonywała mnie Jadwiga.

No i zgodziłam się. Była to ostatnia scena. Usiadłam na łóżku, wzięłam do ręki mikrofon i zaczęłam rozmawiać z głównym bohaterem, którego grał Zbigniew Chrzanowski. Pamiętam do dziś, jak drżała mi ze zdenerwowania ręka, w której trzymałam mikrofon. Przerażona pomyślałam, żeby tylko głos mi tak nie drżał… Ale w tym momencie nastąpiło olśnienie. Uświadomiłam sobie, że przecież w przeszłości kilka razy przeprowadzałam wywiady z panem Chrzanowskim – dyrektorem teatru, który kieruje nim do dziś. Oddzieliłam widownię od siebie i zaczęłam z nim rozmawiać tak, jak kiedyś, kiedy we dwoje siedzieliśmy i rozmawialiśmy… A to, że pytania wymyślił Różewicz, wcale mi nie przeszkadzało. Wszyscy koledzy aktorzy bali się, jak to wyjdzie, bo to była praktycznie improwizacja w moim wydaniu, nie było bowiem czasu na przygotowania. Stali za kulisami i patrzyli, i wsłuchiwali się. Udało się i wszyscy odetchnęli z ulgą. Od tego momentu rozpoczęła się moja przygoda z teatrem.

JSz: Jest to teatr wprawdzie amatorski, ale prezentuje świetny poziom, stawia wysokie wymagania aktorom i niełatwo dostać się do zespołu – oznacza to, że jesteś po prostu szczęściarą.

AG: To nie ulega wątpliwości. Dyrektorem teatru i głównym reżyserem jest Zbigniew Chrzanowski – postać wielka i znana. W spektaklach gra wiele wspaniałych aktorek, które poświęciły się temu teatrowi bez reszty. Przeważają Polacy, ale są też Ukraińcy i Rosjanie. Warto wspomnieć, że wiele lat pracował w tym teatrze – jako scenograf i aktor – Walery Bortiakow, który był Rosjaninem, Sybirakiem. Tak zakochał się w tym polskim teatrze, i tak mu dobrze było wśród Polaków, że często podkreślał: *Ja jestem największym Moskalem wśród Polaków*.

Niestety, kilka lat temu odszedł od nas na zawsze. Pomagał w przygotowaniu dekoracji na obchody Święta 3 Maja i spadł z drabiny. Wkrótce potem zmarł. Miał niewiele ponad 60 lat. Bardzo nam go brakuje. Na początku lipca 2015 roku Jadzia zaprosiła kolegów i koleżanki do siebie. *Dzisiaj są urodziny Walerego. Spotkajmy się* – napisała na Facebooku. Dzięki takim spotkaniom mamy nadzieję, że Walery patrzy na nas z góry i się cieszy. Znowu byłam szczęściarą, że miałam okazję go poznać i pracować z nim.

Teatr wystawia ambitne sztuki we Lwowie, ale znają nas też w Polsce, w Czechach i na Litwie. Bierzemy udział w licznych

festiwalach teatrów polonijnych. I wówczas często spotykam przyjaciół, którzy kiedyś uczestniczyli w Światowym Forum Mediów Polonijnych.

Jest to teatr amatorski, ale są to amatorzy zaawansowani, którzy grają od wielu lat. Każdy musi pracować, bo z czegoś trzeba żyć, ale teatr jest naszą pasją. Czujemy się jedną wielką rodziną. Najfajniejsze są momenty, kiedy siedzimy wszyscy w autobusie, a przed nami długa droga... Wtedy jest czas, aby porozmawiać, nacieszyć się sobą. Teatr stał się dla mnie bardzo ważny.



Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie.

JSz: Jakie spektakle prezentujecie? Jakie role grywasz?

AG: Gram na ogół malutkie role, ale nie to jest najważniejsze. Cieszę się, że jestem w teatrze, że mogę uczestniczyć w różnych spektaklach i w życiu ludzi tego teatru. W końcu nie każdy może być w życiu gwiazdą!

Ludzie powinni czasami zatrzymać się w swoich ambicjach, pomyśleć nieco inaczej o sobie, o życiu. Nam jest razem dobrze – i to jest najważniejsze.

JSz: No dobrze, ale nie powiesz mi, że ot, tak sobie, z przypadku, zostałaś aktorką i to Cię cieszy. Nigdy nie marzyłaś o tym, aby występować na scenie, grać w filmach, nie próbowałaś się realizować jako aktorka?

AG: Oczywiście, że marzyłam o tym, żeby być gwiazdą. Kiedyś, jako mała dziewczynka, na podwórku wystawiałam spektakle swojego teatru lalkowego, reżyserowałam spektakle według znanych bajek. Była kurtyna, dzieciarnia na widowni, bilety – wszystko jak w krainie Melpomeny.

W szkole podstawowej im. Marii Magdaleny był teatr, który

prowadziła nasza polonistka, pani Maria Iwanowa. Teatr ten nazywa się Baj i do dziś działa. Pani Maria wymyśliła kiedyś coś takiego, że para ubrana po krakowsku podchodzi do półki, zdejmuje z niej książkę, otwiera i nagle ożywają postacie z tej książki. Ja grałam rolę pani Słowikowej – miałam wtedy 9 lat. Ubrana byłam w piękny strój, który zrobiła mi mama. A sąsiad, który był malarzem, namalował do tego stroju pióra. Martwiłam się bardzo, dlaczego nie wraca do domu mój mąż – pan Słowik. A kiedy wreszcie się pojawił, powiedział: *Przyszedłem późno, bo wieczór był tak piękny, że szedłem piechotą*. Po spektaklu podszedł do mnie pan Leszczyc – starszy, dystyngowany pan, który uznał, że najlepiej prezentowałam się na scenie i wręczył mi ogromny kosz kwiatów. Były to pierwsze kwiaty, jakie otrzymałam od mężczyzny.

Kiedy byłam w ósmej klasie, zagrałam poważną rolę – byłam Telimeną w „Panu Tadeuszu" Adama Mickiewicza. Ale nie zbierałam mrówek… Pamiętam swoją kreację, która była pożyczona z Teatru Polskiego. Miałam wówczas długie włosy i mama zrobiła mi francuskie loki – długimi szczypcami, które rozgrzewała na gazie. Meble i lustra, które stały na scenie, pożyczały nam starsze wówczas panie, Polki – bo to były zachowane dobra rodowe. Wyszłam na scenę, potknęłam się, bo z trudem dźwigałam swój strój i omal nie upadłam nosem wprost w wystający gwóźdź. Zdołałam jednak utrzymać równowagę, ale z wrażenia zapomniałam swojej roli. Na szczęście wszystko

dobrze się skończyło.

JSz: Jesteś dziennikarką, bo wybrałaś ten zawód, ale jesteś również aktorką. No i jesteś przewodnikiem po Lwowie – masz stosowny dyplom. To też był Twój świadomy wybór, wynikający z wewnętrznej potrzeby?

AG: Kiedy pracowałam społecznie w Radiu Lwów, gdzieś musiałam zarobić na swoje potrzeby i utrzymanie rodziny. Zarabiałam więc jako przewodnik po Lwowie. Pierwszą wycieczkę oprowadziłam w 2000 roku. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że będę wykonywać dwie prace, które związane są z mikrofonem i gadaniem.

JSz: Czy teraz także, mimo wojny na wschodzie Ukrainy, oprowadzasz wycieczki po tym pięknym mieście?

AG: Oczywiście. Lwów, mimo wszystko, jest wciąż bardzo popularnym miastem wśród turystów. Nic dziwnego, drugiego takiego miasta przecież nie ma, a lwowska Starówka jest na światowej liście zabytków UNESCO.

Lwów żyje normalnie, jest piękny i pełen ludzi. Muszę jednak powiedzieć, że rok 2014 nie był dla przewodników dobry. Wojna sprawiła, że ludzie bali się podróżować. Po pewnym czasie Lwów znów zaczął przyciągać ludzi ze świata. W 2015 roku najwięcej

przyjeżdża turystów z Polski – są to często podróże sentymentalne, powroty do przeszłości. Jeśli zapytam kogoś z Polski, co go tu, do Lwowa, sprowadziło, to prawie każdy odpowiada, że we Lwowie albo okolicach mieszkała kiedyś jego rodzina. Ktoś powiedział kiedyś, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a mnie się wydaje, że drogi prawie wszystkich Polaków prowadzą do Lwowa.

Zawsze podkreślałam, że kocham rzeczy piękne, bo urodziłam się w pięknym mieście. We Lwowie można dotknąć ręką wszystkich stylów architektonicznych, poczynając od renesansu. Swój gust i zamiłowanie do architektury kształciłam właśnie na ulicach Lwowa.

JSz: Czy pojawiają się we Lwowie turyści z krajów zachodnich?

AG: Tak. Niedawno, w Podhorcach koło Lwowa, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszy polskich pałaców – pałac Koniecpolskich i Rzewuskich – spotkałam turystów, którzy przyjechali samochodem z rejestracją czeską. Okazało się, że byli to Niemcy. Kiedy zapytałam ich, co tu robią, czego szukają, odpowiedzieli: *Wędrujemy śladami cesarza Franciszka Józefa*. Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef bywał w tym pałacu. Miał też swoją ložę w Operze Lwowskiej. Wychodziło się z niej bezpośrednio na dawną ulicę Legionów. Cesarz lubił przychodzić do opery podczas swoich pobytów w mieście, witał się z

publicznością, a kiedy chciał wyjść – bo podobno lubił bardzo wcześnie chodzić spać – to po prostu po cichutku wychodził.

JSz: Co najchętniej pokazujesz zwiedzającym? Masz swoje ulubione miejsca?

AG: Oczywiście, ale zazwyczaj mamy określony program, dostosowany do danej grupy. Inny jest program dla grupy przebywającej we Lwowie jeden dzień, inny jest na dwa dni; zdarza się, że przygotowujemy program zwiedzania na trzy dni, ale rzadko – wtedy zazwyczaj grupa udaje się poza Lwów. W programie każdej grupy jest zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orląt Lwowskich.

Fenomenem Lwowa było to, że do II wojny światowej był stolicą trzech biskupów: obrządku rzymskokatolickiego, obrządku greckokatolickiego i ormiańskokatolickiego. Nawet Rzym nie był stolicą trzech biskupów. A trzy katedry, istniejące do dziś, są przepiękne i te katedry zawsze pokazujemy turystom. Rzymsko-katolicka szczególnie zapisała się w historii Polski, w niej bowiem 1 kwietnia 1656 roku złożył śluby król Jan Kazimierz.

W pałacu przy cerkwi świętego Jura, w 2001 roku, podczas jedynej wizyty we Lwowie, nocował papież Jan Paweł II. W tej cerkwi, pod batutą syna Mozarta – Ksawerego, odbyło się wykonanie słynnego „Requiem” napisanego przez ojca. Wybrał

Lwów na miejsce koncertu, gdyż bardzo polubił to miasto, będące wówczas pod zaborem austriackim. Stąd też mamy we Lwowie słynną restaurację Amadeusz. Turyści często się dziwią, co tutaj robił kompozytor Mozart. My wyjaśniamy, że to nie Mozart, lecz jego syn Ksawery tutaj bywał. Kiedy miał 18 lat, założył we Lwowie Towarzystwo Świętej Cecylii.

A katedra ormiańska powstała w połowie XIV wieku, są w niej wspaniałe freski Jana Rosena. Po gruntownej restauracji, została ponownie otwarta w roku 2004, a na jej otwarciu pojawił się we Lwowie Charles Aznavour.

Ja kocham Lwów i z radością oprowadzam ludzi po tym mieście. I mogę o nim opowiadać w nieskończoność…

JSz: Czy chcesz przez to powiedzieć, że turysta jest skazany na przewodnika?

AG: No, może nie aż tak… Ale z przewodnikiem łatwiej i szybciej można poznać miasto i zaprzyjaźnić się z nim. Każdy turysta jest inny, różną ma wiedzę historyczną: dla jednych podawanie dat, nazw i nazwisk jest bez sensu, bo i tak nic z tego nie zrozumieją, a dla innych z kolei jest to nudne, bo to znają. Dlatego ja staram się opowiadać o Lwowie tak, jak pisali o nim Janicki czy Witold Szołginia. Już wielokrotnie mnie pytano, czy nie chciałabym napisać swoich opowieści o Lwowie. Owszem, chętnie, ale na

razie nie mam na to czasu. Ale pomyślę o tym. Te opowieści dobrze jest ilustrować, bo turysta lubi oglądać obrazy czy zdjęcia, które pozostają w pamięci.

Najtrudniej jest oprowadzać młodzież, bo nie jest łatwo ją zaciekawić. Często robię więc tak, że ogłaszam konkursy z nagrodami. Pokazuję im na przykład widokówki, a potem pokazuję te obiekty, które widzieli na widokówkach. I jeśli ktoś zgadnie, że zabytkowy obiekt, który właśnie oglądamy, pokazałam na drugiej widokówce – ten otrzymuje nagrodę. I to sprawia, że młodzi ludzie zapamiętują to, co oglądali. Staram się też przeplatać opowieści o Lwowie moimi wspomnieniami o tym mieście: co mówiły moje babcie, co opowiadała mi mama, przytaczam fajne powiedzonka, recytuję czasem zapomniane wiersze… To sprawia, że ta opowieść o mieście nie jest jedynie historią, a miasto staje się normalne, bliższe.



Ulica we Lwowie.

JSz: Urodziłaś się i wychowałaś we Lwowie, w dawnym Związku Radzieckim, w zupełnie innych realiach niż dzisiejsze. Udało Ci się jednak zachować polskość, świetnie mówisz po polsku. Czy to zasługa domu rodzinnego?

AG: Pochodzę z rodziny mieszanej: mój ojciec jest Rosjaninem, urodził się na Syberii, ale matka jest Polką z krwi i kości. Poza ojczyzną nie jest łatwo zachować polskość. A trzeba pamiętać, że my nie jesteśmy na emigracji – my jesteśmy Polakami, od których ojczyzna odeszła. Moja mama Maria zadbała o ty, aby w domu wszyscy mówili po polsku, aby żyły polskie tradycje i polski

język. Matka Polka to potrafi. W małżeństwach mieszanych wszystko w rodzinie zależy od matki Polki.

Ale też ważne jest to, w jakim środowisku się żyje. We Lwowie mamy dwa polskie kościoły: katedrę i kościół św. Antoniego, które nigdy nie były zamknięte, podobnie jak dwie polskie szkoły – i to nas uratowało. Bywając w innych miasteczkach i miastach na Ukrainie zrozumiałam, że tam, gdzie nie ma kościoła z mszą odprawianą po polsku, albo szkoły polskiej – język polski ginie. Zachować go w rodzinach, które najczęściej są mieszane – jest bardzo trudno.

Mama oddała mnie do polskiej szkoły, pomimo że w tamtych latach – a były to lata 60. – ani nie było to dobrze widziane, ani też nie przynosiło prestiżu. Dzisiaj szkoły polskie są bardzo modne, między innymi dlatego, że od kilku lat nasza młodzież może studiować w Polsce. Zasada jest taka: Polska kształci naszą młodzież po to, aby potem wracała do Lwowa i na Ukrainę. Ale niewielu wraca. I nie można mieć im tego za złe.

JSz: Klasycznym przykładem są Twoje córki…

AG: To prawda. Obie skończyły we Lwowie polską szkołę, w której ja się uczyłam, a potem studiowały w Polsce. Skorzystały ze specjalnego programu Ministerstwa Edukacji Narodowej dla rodzin pochodzenia polskiego. Kasia jest lekarzem chirurgiem, a

Eliza jest farmaceutką. Obie mieszkają i pracują w Krakowie. Nasze pokolenie nie miało tej możliwości, aby studiować w Polsce. Dzisiaj jestem szczęśliwa, że moje córki mogły studiować w Polsce, że żyją i pracują w Krakowie.

JSz: Dzięki Światowemu Forum Mediów Polonijnych bywałaś raz w roku w Polsce. Teraz w Polsce bywasz bardzo często, no bo trudno żyć z dala od dzieci i wnuków. Jak ją odbierasz, jak się tutaj czujesz?

AG: Różnie Polacy mówią o swojej ojczyźnie, ale dla mnie Polska jest wspaniałym krajem. Najczęściej bywam w Krakowie, u moich córek, bo teraz mogę. Bacznie obserwuję Polskę od roku 1979. I muszę powiedzieć, że Polska bardzo się zmieniła, wypiękniała. Wioski i małe miasteczka, kiedyś brzydkie, zacofane i biedne, dzisiaj są piękne, zadbane, robią wspaniałe wrażenie. Polska nie musi się już wstydzić, jak kiedyś, pokazywać ludziom ze świata. Bo jest piękna!

JSz: Wciąż pędzisz, trudno za tobą nadążyć… Ale często uśmiechasz się, a zatem nie jest źle. Czujesz się spełniona?

AG: Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo robię to, co lubię… Staram się cieszyć każdym dniem, każdym napotkanym człowiekiem, zrealizowanym wywiadem – bo uświadamiam sobie, że przecież nie dam rady sama wszystkiego zrobić, spotkać się ze

wszystkimi, nagrać, utrwalić. To nie jest możliwe.

Kiedy zaczęłam pracować jako dziennikarka, moja mama w pewnym momencie powiedziała mi: *Ty zaczynasz robić za gwiazdę*. Wydaje mi się, że każdy, kto ma do czynienia z pracą twórczą, a więc aktor, dziennikarz czy malarz, w pewnym momencie jest dostrzegany przez ludzi, idą za tym nagrody, wywiady, uznanie. Zaczyna rosnąć, a nawet – jak mówiła moja babcia – woda sodowa troszeczkę uderza do głowy. Bo człowiek powinien być dowartościowany, czuć, że robi to, co jest ważne dla niego i dla innych. A ja czuję się dowartościowana. Także wtedy, kiedy ktoś, kogo oprowadzałam po Lwowie, mówi mi, że dziękuje mi za to, co mu pokazałam i o czym mówiłam, i że musi tutaj jeszcze wrócić.

JSz: Kiedy po odwiedzinach córek w Krakowie wracasz do Lwowa, nie czujesz lęku, obawy, że może jednak trzeba było zostać tam, nad Wisłą, bo tam jest spokojnie, pięknie i bezpiecznie?

AG: Nigdy w życiu nie spodziewałam się, że będę żyć w kraju, w mojej ojczyźnie, w której będzie wojna. I chociaż ta wojna nie dotyka nas bezpośrednio, nie widzimy jej, ale ona jest bardzo blisko nas, czujemy ją.

Cieszmy się każdym dniem, cieszmy się życiem. Za dużo czasu

wszystkim Polakom, również we Lwowie, zajmują bezsensowne kłótnie. Zamiast kłócić się, powinniśmy się nawzajem wspierać, bo jest co robić. A kiedy będziemy się nawzajem szanować, rozumieć i wspierać, na pewno osiągniemy więcej i wszystkim nam będzie lepiej. Zawiść zżera, a kłótnie zabierają czas i energię. Jeśli chcemy być bliżej siebie i pracować wspólnie, aby zachować polskie tradycje i kulturę – to powinniśmy unikać wszelkich waśni. Bo przecież wszyscy Polacy mamy jeden cel, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie – żeby jak najdłużej zachować polskość. Róbmy więc jak najlepiej swoje.

JSz: Żałuję, że nie miałem nigdy okazji zwiedzać Lwowa pod Twoim przewodnictwem. Mam nadzieję, że któregoś dnia przyjadę do tego miasta, z którym i moja rodzina była kiedyś mocno związana, i oprowadzisz mnie po Lwowie…

AG: Zapraszam z całego serca. Pięknych miast na świecie jest bardzo wiele, ale Lwów pozostanie dla lwowiaków – także i dla mnie – najpiękniejszym miastem, bo… to są przede wszystkim sentymenty, bo tu serce przemawia. Pozostają wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy do nas przyjeżdżają kresowiacy, często mówią: *U was jest inne powietrze i nawet trawa jest innego koloru!*. Dalej więc robię swoje i… już się nie zatrzymam.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



W rytmie korzeni. Urszula Kozioł.



Urszula Kozioł, fot. Elżbieta Lempp, culture.pl

Korespondencja z Polski

Włodzimierz Wójcik

Krainę własnej młodości Urszula Kozioł wspomina w swoich wierszach jako świat cudownie zielony, wielobarwny, po prostu – rustykalny. Możemy go sobie doskonale zrekonstruować poprzez lekturę jej wiersza *Pejzaż z pamięci* z tomu *W rytmie korzeni* (1963). Poetka pisze:

> W przewlekłość nieba odlatują wrony
>
> i piwne liście drzewa na odchodnym
>
> są podwajane dotkliwie przez wody
>
> W miedzianym pyle gniade kłęby kobył.

W tej cudownej krainie mamy „czerstwym mlekiem napęczniałe skopki", „Praczki na kładkach drewnianych klęczące", garnki wiszące na kołkach, kobiety niosące „ołowiane tace słonecznika", „napojone konie", które wchodzą w otwarte wrota stajni. Wyposażona w takie krajobrazy, które zapadły jej w serce i doznania, jakie one wywoływały, w wiedzę zdobytą w Liceum Ogólnokształcącym imienia Marii Konopnickiej w Zamościu, obeznana z obyczajowością swojej „najbliższej ojczyzny", czująca świeżość Sanu, Tanwi i zapach Roztocza, szła w świat z niebagatelnym bogactwem, które nieco później eksploatowała w

swej sztuce pisarskiej.

Z cudownej krainy wczesnej młodości trafiła do wspaniałego ośrodka uniwersyteckiego z wielością kulturotwórczych instytucji. Podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwszy stopień uzyskała w 1953 roku; pełne studia magisterskie finalizowała w roku 1969. W latach 1954-1972 pracowała jako nauczycielka najpierw w Bystrzyce Kłodzkiej, potem we Wrocławiu. Była redaktorem wielu pism literackich, aktywnym animatorem kultury. Jej zasługi zostały jednoznacznie określone. Otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jest powieściopisarką, dramaturgiem, eseistką. Przede wszystkim poetką. W klimacie popaździernikowej odnowy życia polskiego rozwinęła twórczość poetycką. Początkowo swe wiersze zamieszczała w prasie. W krótkim czasie znalazła się w czołówce polskich poetów współczesnych. Między rokiem 1957 a 2005, czyli w ciągu 48 lat wydała drukiem szesnaście tomów wierszy: *Gumowe klocki*, *W rytmie korzeni*, *Smuga i promień*, *Lista obecności*, *Poezje wybrane*, *W rytmie słońca*, *Wybór wierszy* (1976), *Poezje wybrane II*, *Wybór wierszy* (1986), *Żalnik*, *Dziesięć lat przed końcem wieku*, *Postoje słowa*, *Wielka pauza*, *Wiersze niektóre*, *Stany nieoczywistości*, *Supliki* (problematyka przemijania i oswajania śmierci).

Wynika z tego, że nie ma tutaj mowy masowej produkcji poetyckiej. Poetka jest niespieszna, rozważna i wydaje zbiorek wierszy średnio co trzy lata.

Pochodząca z Ziemi Biłgorajskiej, znad Tanwi Urszula Kozioł jest od dziesięcioleci wielką osobowością w wielkomiejskim środowisku dolnośląskim. Swoją wielostronną aktywnością zakorzeniła się w niezwykłym polskim mieście, we Wrocławiu. Ale dlatego nie przestaje twórczo owocować, gdyż nieprzerwanie żyje i tworzy – jak dawniej, za lat młodych – „w rytmie korzeni". Urszulę Kozioł czyta się dzisiaj bezustannie, tak, jak Wisławę Szymborską, Tadeusza Różewicza, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, czy na przykład Stanisława Barańczaka.

W jej poezji widać doskonałe osadzenie się na konkrecie i jednoczesną zadumę nad sensem życia i głęboką refleksję filozoficzną. Jawi się przeświadczenie, że to, co w życiu odchodzi i przemija, bo umierać musi, w poezji może ożyć i powrócić. Ważne miejsce w tej poezji zajmuje temat bezustannej wędrówki. Człowiek żyje pod ciśnieniem przemienności losu, przeżywa wielorakie nastroje. Poszukuje najlepszego miejsca w życiu, aby po osiągnięciu celów czuć niezadowolenie, nawet dotkliwe rozczarowanie. Poszczególne istnienie ma charakter ulotny. Natomiast byt okazuje się trwały, nieustający. Wiele miejsca poświęca refleksji na temat procesu i tajników tworzenia. Stąd

też autotematyzm tej poezji. Warsztat Urszuli Kozioł cechuje wielka pomysłowość w wyzyskiwaniu wielu rozwiązań wersologicznych. Poetka jest mistrzynią miniatury poetyckiej o krystalicznej czystości językowej. Dość przywołać z tomu *Wybór wierszy* (1976) wiersz pod tytułem *Piosenka*:

> Już głos piewika
>
> cieniem błękitnym
>
> tańczy w upale
>
> i wartki karmin
>
> dzikiej firletki
>
> śmiga przez trawy
>
> a ja w podróży
>
> a ja bez pary
>
> dzisiaj niczyja
>
> w listku na wodzie

> w płytkim obłoku
>
> sobie przemijam

– aby przekonać się o walorach leksykalnych, stylistycznych tej mądrej i bardzo ciepłej poezji, w której dyskretnie manifestuje się wsłuchiwanie się w głos natury połączone z egzystencjalna zadumą. Nieco podobne walory widać w jednym z nowszych wierszy poetki (*Wielka pauza* – 1996) noszącym tytuł *Przechadzk*a:

> Mówię do ciebie: spójrz –
>
> czy ten kamień, albo skrzydło
>
> owada
>
> nie układa się w taki deseń
>
> jakby głównym celem natury
>
> miał być ornament?
>
> Zmierza ku temu ryba

gwiazda na firmamencie

i kolec

choćby na tej giętkiej gałązce

jeżyny.

A ty zaprzątnięty własnymi

myślami

mruczysz „to tylko fasada”

i słowo „fasada” w odniesieniu

do tego

o czym ja myślę

przejmuje mnie nagłym

chłodem

Wiersze Urszuli Kozioł czyta się z potrzeby serca z wielkim pożytkiem. Sięgają po nie poloniści, młoda inteligencja, intelektualiści, ale także przeciętni czytelnicy bez większego wykształcenia. W tych wierszach znajdują żywą, soczystą polszczyznę, bliskie sercu myśli, człowieczą mądrość, nieśmiertelne pejzaże dzieciństwa, wieczorną muzykę idącą znad rzek i jezior. Tych z Zamojszczyzny i tych z Ziemi Dolnośląskiej...

prof. Włodzimierz Wójcik zmarł w 2012 r.

Poranek na bagnach – haiku

Fotografie: Anna Fiala

Tekst: Adam Fiala



Poranek na bagnach

Ma swój rytuał

Ciszę wzbogacają ptaki



> Niby pchły
>
> Maleńkie kangury
>
> Skaczą w zieleni wzgórz



> One ze sobą konkurują
>
> Która kałuża

> Więcej odbija obrazu nieba



> O wschodzie słońca

> Chmura zwraca się do nas
>
> Swą okrągłą twarzą



> Ja idę do przodu
>
> Ty idziesz do tyłu
>
> Podświetloną słońcem plażą



> Krwotok nieba
>
> Niegroźny
>
> Bo tworzą go chmury



Niebo także

Ma swoją

Baletnicę

Drukarnia pod Arkadą

Florian Śmieja

Oficyna pod mostem

Dla K. i Cz. B.



Feliks Topolski, Krystyna i Czesław Bednarczykowie.

W przedsionku cuchnie farbą, paki przejście

ci tarasują, a przecież to tutaj

tłumniej się garną na duchów biesiady

niż na czwartkowe przyjęcia monarchów.

Jakże niepyszne stoją kuluary

spasionych bonzów od wielkiej żeglugi

bo strużce płynącej ze wzgórza Kaliopy

na próżno szukać by mniej oficjalnej

ścieżki nad tę, lichszych progów, schronienia

bardziej skromnego. Duch od rezydencji

stroniący bujniej za to popod strzechą

swobodny kwitnie. Tak na nagiej ścianie

orzeł kapłonowi też nie zazdrości

ni gęsi sytuowanej na grzędzie.

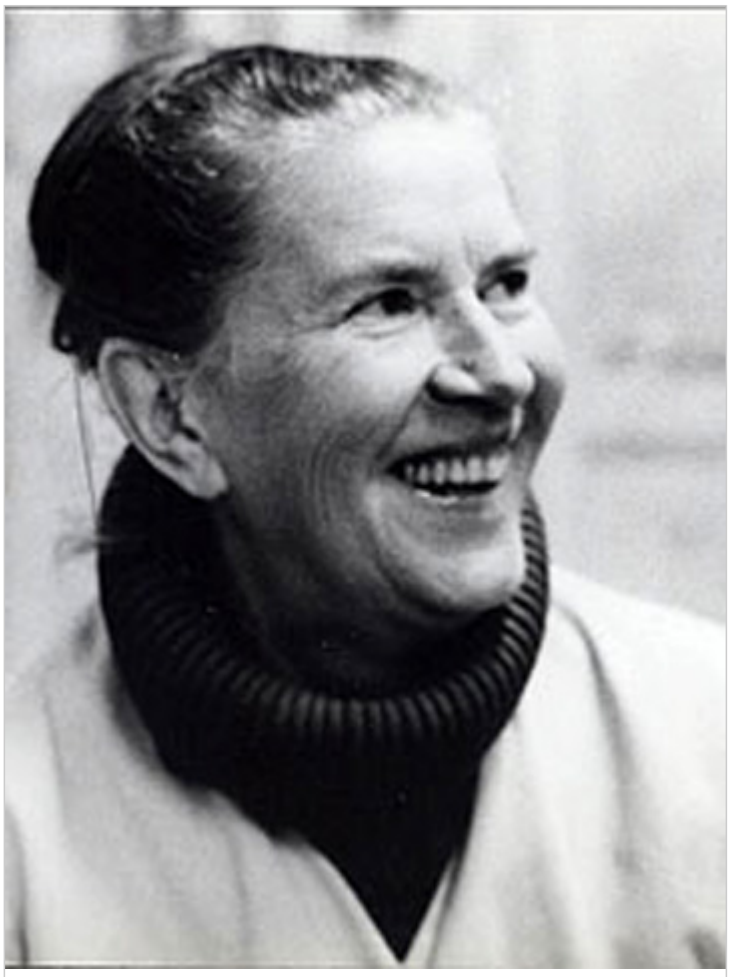
Wie, że gdy spadnie z błękitu piorunem,

truchleją serca tuczone, umilknie

głos podwórkowy. Bo gdzie się pokażą

orły, padlina zwykle niedaleko.

W Londynie pod przęsłami kolejowego mostu na Tamizie funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat Oficyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo i drukarnia Krystyny i Czesława Bednarczyków, znana nie tylko polskim emigrantom zamieszkałym w stolicy Zjednoczonego Królestwa i okolicy, ale również wielu Polakom odwiedzającym Anglię.



Krystyna Bednarczykowa, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Podwójna rola poetów i drukarzy wystawiała oboje na wiele niełatwych prób i kolei barwnego życia w wyziewach ołowiu i farby drukarskiej, wśród maszyn i stosów papieru w różnych stadiach obróbki. Były to jeszcze czasy przedkomputerowe, epoka żmudnej pracy zecerów i linotypistów, drukarek rotacyjnych i gilotyn. W takich to warunkach powstawały piękne druki, które z czasem miały stworzyć długą listę w wiele setek tytułów idącego rejestru osiągnięć placówki.

Wydawanie książek Bednarczykowie zaczęli z pomocą pedałówki. Mieli ambicję zrzeszyć ludzi pióra i pędzla równouprawnionych w książce i piśmie. W erze zarysowującej się rewolucji technologicznej, która przeorała drukarstwo, wierzyli w przetrwanie rzemiosła i sztuki wielkiej tradycji reprodukcji książki. *Z Gutenbergem iść będzie dalej piękna książka, wiecznie istnieć będzie artysta książki i ręczna sztuka drukarska,* pisał Bednarczyk. Wierzyli, że pozostanie tęsknota do artystycznej, na ręcznej prasie tłoczonej książki. Nieraz jeszcze z sentymentem wspominam częste odwiedziny w drukarni. Przynosiłem czasem domowe kołacze, albo zakupione w pobliskiej cukierni ciastka,

Bednarczykowie ogłaszali przerwę, parzyli kawę czy herbatę i zasiadaliśmy na czym było można, lustrując przy okazji drukujące się akurat książki i gotowe już egzemplarze. Wtedy też wymienialiśmy nowości, układali plany, snuli marzenia.

Czesław Bednarczyk, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Za małe pieniądze drukowałem w ich oficynie tomik poezji „Powikłane ścieżki", a także wybór prozy poetyckiej Hiszpana, noblisty, Juana Ramóna Jiméneza, „Srebroń i ja". Zygmunt Turkiewicz wybrał się do Irlandii, by napatrzeć się i narysować dla książki osiołki. Tekst był bardzo liryczny i piękny, a autor nagrodzonym poetą, dlatego druk był szczególnie wypielęgnowany i czterokolorowy, co wtedy oznaczało czterokrotne przepuszczenie przez maszyny i czyszczenie wałków z farby. Ponieważ tytułowy osiołek nazywał się „Srebroń", więc nagłówek i łeb protagonisty drukowane były srebrną farbą. Powstała śliczna książeczka, jedna z piękniejszych pośród gustownie wydawanych tomików, które wyszły spod prasy „Oficyny Poetów".

Z tą pozycją wiąże się moje nierozważne pociągnięcie, kiedy to chcąc poprawić kilka błędów i dostarczyć tekstu już wyczerpanego, nieumiejętnie książeczke powieliłem w Kanadzie. Ponieważ wprowadziłem drobne zmiany w tekście, trzeba było wydanie opatrzyć innym numerem. Dość, że powielone egzemplarze wypadły bardzo niekorzystnie. Kiedy Krystyna Bednarczyk je zobaczyła, nakazała je wycofać i mocno mnie zbeształa. Dopiero wydanie całości tekstu (trzy razy dłuższego) dwujęzyczne we Wrocławiu salwowało sprawę hiszpańskiego arcydzieła.

Krewkości Krystyny Bednarczyk doświadczyłem uprzednio w latach redagowania miesięcznika „Kontynenty", drukowanego przez jakiś czas u nich. Jego kolorowa okładka zmieniała się w zależności od posiadanych przez drukarnię na składzie papierów i kartonów. Raz umówiliśmy się, że będzie czerwona. Przeświadczony o tym pojechałem po pracy do drukarni i , o zgrozo, zamiast spodziewanej okładki czerwonej, zobaczyłem zieloną. Nim się zreflektowałem, nieopatrznie wypowiedziałem słowo zdziwienia „zielona?" To wystarczyło, by Krystyna, która widocznie miała trudny dzień, ucapiwszy mnie za kołnierz, wyprowadziła z drukarni.

Bednarczykowie zapisali piękną kartę wydając przez czternaście lat dużego formatu zeszyty kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy" w imponującej szacie graficznej. Wyszło ich w sumie

57. Bez wątpienia okazały to był periodyk, który stwarzał możliwości publikacji ambitnym pisarzom i plastykom z emigracji i z kraju.

Aczkolwiek raz po raz drukowałem w nim różne teksty, nie wykorzystałem należycie oferty. Obowiązki zawodowe i przeniesienie się do Kanady nie pozwoliły na pełny udział. Tym niemniej zdołałem wydrukować kilka poważniejszych prac, w tym przekład dwuaktowej komedii Federico Garcii Lorci, sztukę Argentyńczyka Osvalda Draguna, esej T.S. Eliota, opowiadania J.L.Borgesa oraz psalmy Ernesta Cardenala oprócz wierszy i recenzji. Na łamach „Oficyny" ukazały się po raz pierwszy przewrotne bajki Gwatemalczyka, Augusta Monterroso. Pamiętam też, że raz posłałem przekłady wierszy dwu kanadyjskich poetów, z którymi pracowałem w głównym, neogotyckim budynku uniwersyteckim o pięknej kwadratowej wieży, w London, Ontario. Jednym z nich był anglista James Reaney, dramaturg i poeta, drugim, młody asystent na anglistyce, poeta i filmowiec, który później dopiero miał zasłynąć jako wspaniały powieściopisarz, Michael Ondaatje. Jego wiersz w „Oficynie" z pewnością był jego polskim debiutem. Nie doszedł natomiast do skutku sugerowany w jednym z listów tom przekładów poezji Louisa Dudka, poety kanadyjskiego polskiego pochodzenia, którego poznałem w Montrealu w 1971 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych zamykał się miesięcznik młodych

„Kontynenty”, mógł był znaleźć kontynuatora w Czesławie Bednarczyku, ale miał on własne plany i ambicje hołubione od wielu lat. Mógł też czuć do młodych pisarzy pewne rozczarowanie, a nawet żal, że wobec starszych kolegów nie wykazywali należnego entuzjazmu czy pietyzmu, że nie inspirowała ich twórczośc średniego pokolenia poetów, którzy na emigracji pozostali bez własnej platformy i rzeczników. Młodzi wprawdzie głosili także obcość poezji skamandrytów, nie opowiadali się też zbyt ciepło po stronie awangardy, ale równocześnie nie doceniali osiągnięć poetów średniego pokolenia, nie brali ich sobie za wzór, a zerkanie na równieśników w Polsce nie mogło się podobać.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „W podmostowej arkadzie” Bednarczyk oceniając krytycznie londyńską scenę nie pominął grupy młodych poetów skupionych przy piśmie „Merkuriusz Polski” a potem „Kontynenty”. Wyszliśmy w porównaniu z innymi, myślę, dość obronną ręką.

Nie zabierając głosu w imieniu wszystkich, sądzę, że wymienione w książce nazwiska naszych domniemanych wzorców wybrane zostały dość arbitralnie. Jerzego Niemojowskiego szanowałem za obsesyjną wręcz dedykację rzemiosłu poetyckiemu. Znalazł czas, by go w zupełności poświęcić pisarstwu i skupić się na swoim warsztacie. Tego tylko zazdrościć. Natomiast nigdy nie był mi wzorem czy mistrzem, jego utworów nie znałem dostatecznie, nie

były w moim stylu. Podobnie mogę powiedzieć o Janie Brzękowskim. Nie spotykałem się z nim, nie korespondowałem, nie znałem jego wierszy. Tadeusza Sułkowskiego konsultowałem w sprawie przekładu prozy poetyckiej Jiméneza, jego poezje znałem i ceniłem, ale nie brałem wzoru. Zawsze mnie pociągała poezja Miłosza, wdzięczny byłem, że zechciał do nas przyjechać dwa razy. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę i otrzymałem odeń tekst, który potem moi koledzy krytycznie roztrząsali. To wszystko. T.S. Eliota znałem jako tako, nie byłem weń zapatrzony. To, co pisze Bednarczyk o wpływach tych ludzi na naszą poezję, mnie raczej nie dotyczy.



Od lewej: Czesław Bednarczyl i Jan Darowski w Drukarni pod Arkadą, fot. arch. F. Śmieji.

Już w 1966 roku Czesław Bednarczyk omawiając antologię wierszy „Ryby na piasku” napomknął:

> Ma rację, wydaje mi się, Wacław Iwaniuk twierdząc, że grupa Kontynenty… prędzej czy później doczeka się swego

> historyka. Doczeka się choćby dlatego, że powstała w bardzo niecodziennych warunkach. Pamiętam doskonale nacisk gospodarzy i rodaków im pomagających kierowania młodzieży na studia techniczne, jak to się mówiło, i praktyczne. I właśnie pojawienie się grupy młodych ludzi interesujących się naszą literaturą i naukami humanistycznymi, mozolących się nad poprawną polszczyzną, piszących i ogłaszających wiersze i artykuły w „niepraktycznym" języku – musiało wzbudzić u starszych zrozumiałe zainteresowanie i dużo należnej sympatii.
>
> …Z radosną zazdrością patrzyłem na młodych zrzeszających się w imię polskiego słowa: czytałem zawsze z przyjemnością, choć zawsze przesadzone i na wyrost, wzmianki w prasie emigracyjnej o nich.

Chętnie się z powyższym zgodzę, a nawet nie protestuję, kiedy ciągnąc dalej powiada

> Łatwość druku, częste i za byle co dawane nagrody dla młodych adeptów sztuki poetyckiej tylko ich rozzuchwalało. Wieczory autorskie w kadzidlanym dymie i wzajemnych koleżeńskich pochwałach u wielu co najmniej wywoływały pobłażliwy uśmiech. Nawet Grydzewski drukował im, łamiąc zasadę, wiersze bez znaków pisarskich i wszystko małą

> literą. Tego mu chyba ortodoksyjni Skamandryci nigdy nie wybaczą.

No, ale jak wcześniej powiedziałem, nie wypadliśmy w sumie tak źle. Innym się dostawało mocniej, bo życie miewa swoje nieodzowne amplitudy. Nawet Bednarczyk później zauważył:

> gdy teraz spoglądam wstecz, widzę potrzebę istnienia obok siebie i pochwał i skrajnej nawet krytyki wraz z niechęcią ludzi usiłujących szkodzić.

Nie zdążył jednak, jak zamierzał, odpowiedzieć na atak kilku osób, które w „Kulturze" podpisały list w obronie domniemanie szkalowanego przez Bednarczyka Bronisława Przyłuskiego.

Nie godząc się na zarzut, 'że prawie wszystkich nie lubi',Bednarczyk odpowiedział w liście do „Kultury" (3/534 z 1992 roku), że to nieprawda, ale przyznał, że

> Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze: obojętnie od czerwonych, czarnych czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na

> emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów…

Bednarczykowie mieli piękny domek z pielęgnowanym ogródkiem, do którego uciekali po pracy spod hałaśliwego mostu. Czesław pisał rzetelne, cenione wiersze, pochodzące z dojrzałego, warsztatu, a świadczące o wyrobionym smaku autora i gustownie je wydawał. Krystyna debiutowała późno, ale zdołała uchwycić własny głos i pisała teksty, które się podobały.

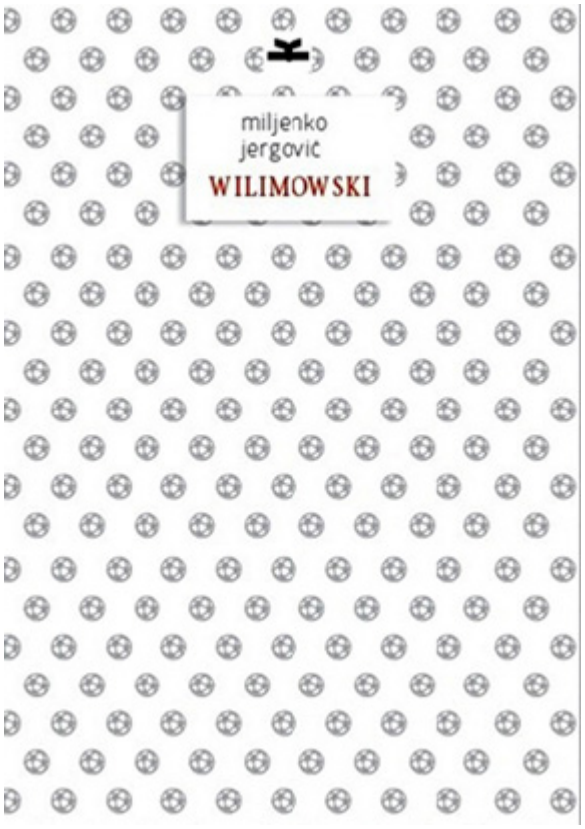
Nie da się zaprzeczyć, że oboje ciężko pracowali, znajdywali od czasu do czasu wsparcie i dobrych przyjaciół, ale nie potrafili wybić się na tyle, by wolni od koniunktur miejsca i czasu, mogli byli swobodnie i na dłuższą metę wydawać pokupne książki. Ich dzieło imponuje zważywszy skromne warunki lokalowe i ludzkie. Stanowili jedną z tych witalnych cząstek ofiarnej i patriotycznej emigracji, która już nie miała się doczekać godnych następców, gdyż była nietypowa i niepowtarzalna.

Oficyna z jej półtysięczną listą wydawnictw to pomnik wielkiego wysiłku, wprawdzie papierowy, ale trwalszy od spiżu.

Wszystko jest opowieścią. Miljenko Jergović: „Wilimowski”

Barbara Lekarczyk-Cisek

Jeśli coś nie zostało opowiedziane – tego nie ma. *Człowiek zapomina, a w końcu umiera. Nieopowiedziany* – twierdzi autor znakomitej powieści: „Wilimowski”. Bo wszystko jest opowieścią.



Gdzieś hen, na chorwackiej prowincji, do znajdującego się wysoko w górach hotelu, nazywanego przez tubylców Niemieckim Domem, zmierza dziwna karawana, której centrum stanowi lektyka z kalekim chłopcem. Rozmawiają osobliwym językiem, a chwilami po niemiecku. Ów język – *szeleszczący ostry i jękliwy przerażał i zdumiewał. Kiedy słyszeli go z daleka, zaczynali głośno śpiewać pobożne pieśni, żeby uchronić się przed jego diabelską mocą.* Cóż to za język tak przerażał okoliczną ludność? Otóż był to język polski – mowa podobna do ich mowy, a przecież odmienna. A skoro Polacy mówią takim językiem – sądzili tubylcy – musi to być niechybnie podstęp szatana. Skąd ten lęk przed polską mową i dlaczego Polacy znaleźli się w tej odległej krainie, opowiada najnowsza powieść znakomitego chorwackiego pisarza – **Miljenko Jergoviča**, laureata Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za prozę ”Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki”.

Karadoz, czyli jak rodzi się opowieść

Kiedy w spokojnej wiosce pojawia się nagle tajemnicza

karawana, to trzeba ją jakoś opowiedzieć, aby zrozumieć, co to oznacza. Mieszkańcy jednak są zbyt lękliwi i ostrożni, a czasy są niepewne, więc lepiej nie zadawać pytań, bo mogą się okazać bardziej szkodliwe niż odpowiedzi. Tylko jeden z mieszkańców, zwany Amerykaninem, bo po trzydziestu latach pracy w hucie w Pittsburgu powrócił do wioski, oznajmia, że przybył Karadoz. Wprawdzie nikt nie wie, kto to taki, ale wszyscy udają, że rozumieją. I tak zaczyna rozchodzić się po wsi opowieść o Karadozie i jego orszaku, w której ludowe wierzenia mieszają się z najnowszymi wiadomościami.

Na końcu opowieści – twierdzi autor – *znajdzie się też najbardziej trwała prawda o tym wydarzeniu, którą dzięki jednemu jedynemu słowu pamięta się i przekazuje siedemdziesiąt lat później, kiedy zapomniane zostało wszystko, co się naprawdę wydarzyło, i kiedy już nikt we wsi nie pamięta niezwykłej kolumny wędrującej do Niemieckiego Domu wczesnym rankiem 4 czerwca 1938 roku.*

Nie ma już żadnych materialnych śladów tamtego wydarzenia, zapomniane zostało nawet samo wydarzenie, ale imię Karadoza trwa. Zostanie przypomniane po latach, w 1978 roku, kiedy papieżem wybrano rodaka Karadoza. Wtedy wszystko ożyje na nowo. Opowieść bowiem nie tylko trwa, ale kształtuje ludzi, którzy ją usłyszeli – bez niej byliby zupełnie inni:

Nawet jeśli w Mirilach Frankopanskich jej nie pamiętają, opowieść ta, jak wiele innych, zapamiętanych i niezapamiętanych, przekazywanych przez wieki, uczyniła ludzi takimi, jakimi są dzisiaj.

Każdy ma własną opowieść, ale czasami człowiek umiera niedopowiedziany

Wszyscy bohaterowie powieści mają swoje historie, które niekiedy łączą się i przeplatają w sposób zgoła nieoczekiwany. Gdyby jeden z nich – emerytowany krakowski profesor, nie wspomagał jednego ze swoich studentów, ten być może nie przeżyłby swojej choroby i nie opowiedział po latach swemu darczyńcy o niezwykłym hotelu, zwanym Niemieckim Domem, który znajduje się gdzieś hen, koło Crikvenicy. Tam właśnie podąży emerytowany profesor ze swoim chorym na gruźlicę kości synem, aby… No, właśnie, nie można jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, po co. Po przybyciu instaluje na wzgórzu antenę i uruchamia własnoręcznie sporządzone radio, by wysłuchać transmisji z meczu Polska – Brazylia, który przeszedł do historii, gdyż był to jedyny przypadek, kiedy jeden piłkarz – Ernest Wilimowski strzelił aż cztery gole. I chociaż mecz skończył się przegraną Polaków 5:6, to jednak jego bohater stał się kimś szczególnym i bliskim dla profesora Tomasza Mieroszewskiego i jego chorego syna. I nie tylko dla nich.

Opowieść rozwija się w głąb. Poznajemy piękną i dramatyczną historię miłości profesora i jego młodej, przedwcześnie zmarłej pięknej żony, a także ich syna Dawida, owego Karadoza z opowieści mieszkańców wsi. Przedwcześnie dojrzały i niezwykle wrażliwy chłopiec o wielkiej wyobraźni, oswojony ze śmiercią jak mało kto, zdaje się rozumieć więcej od innych. Mało tego, jest właściwie zadowolony ze swego stanu, pomimo cierpienia. Uważa, że zdeformowane chorobą ciało jest Bożym błogosławieństwem i znakiem misji, która jest mu przeznaczona. To on zdecyduje o wygranej Polski. A jednak staje się inaczej.

Wilimowski – bohater dwudziestej trzeciej minuty



Ernest Wilimowski, 1936

r.

Mecz, który 4 czerwca 1938 roku rozegrał się pomiędzy Polską i Brazylią, a ściślej – transmisja z tego meczu – są punktem kulminacyjnym powieści. Szczególnie zaś istotne jest to, co rozgrywa się w dwudziestej trzeciej minucie, kiedy to Ernest Willimowski toczy walkę z potężnym Brazylijczykiem Hérculesem – niczym Dawid i Goliat. Kiedy sędzia zarządza rzut karny, wśród polskich kibiców, którzy znajdują się na emigracji, zapada wielka cisza.

Dotychczas śpiewali o Polsce, która wciąż jeszcze nie zginęła, choć samotna i opuszczona stoi w pustce, na ziemi niczyjej, między dwiema oddalonymi od siebie nieczułymi potęgami.

Wtedy do piłki zbliża się Wilimowski, który jest Górnoślązakiem, tzn. Niemcem i Polakiem zarazem, ale na ten moment staje się tylko Polakiem, choć kilka lat później będzie służył w niemieckim wojsku, i wyrównuje wynik meczu. A potem gra w uniesieniu i rozpaczy jakiś swój własny mecz przeciw całemu światu, jakby chciał sprawić, aby nie zostali zapomniani – on i jego koledzy, kiedy – już wkrótce – nadejdzie czas śmierci i zapomnienia.

Wszystko jest opowieścią – zdaje się mówić Miljenko Jergović.

Opowieścią, która trwa, dopóki jest ktoś, kto ją snuje i ktoś, kto jej słucha. Jeśli coś nie zostało opowiedziane – tego nie ma. *Człowiek zapomina, a w końcu umiera. Nieopowiedziany*. Choć sam przyznaje, że bywają opowieści nieinteresujące, z całą pewnością nie należy do nich skromna rozmiarami, ale jakże piękna i pasjonująca opowieść o Wilimowskim.

Powieść „Wilimowski" Miljenko Jergovića ukazała się w wydawnictwie Książkowe Klimaty, w tłumaczeniu Magdaleny Petryńskiej.

Jak trwoga to do Basi

Rozmowa z Barbarą Kukulską – wiceprezes Rady Polonii Afryka Południe, redaktorką „Wiadomości Polonijnych" w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.



Republika Południowej Afryki, fot. Fotolia.

Janusz Szlechta: Jak trafiła Pani do Republiki Południowej Afryki. Dlaczego właśnie tam?

Barbara Kukulska: Jesteśmy z emigracji solidarnościowej. Wyjechałam z Polski z mężem i dwójką dzieci, wówczas już nastolatków, kilka godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego. To była trudna decyzja i brawurowa. Mąż Marek – który był adiunktem na Politechnice Łódzkiej, z tytułem doktora inżyniera mechanika – podpisał kontrakt w Południowej Afryce, stąd znaleźliśmy się właśnie w tym kraju. I w swym zawodzie natychmiast po przyjeździe rozpoczął pracę. Dostaliśmy od razu mieszkanie: 6-pokojowy dom, z olbrzymią kuchnią, dwiema

łazienkami, garażem, pięknym ogrodem. Dom był wyposażony w nowe meble, nawet jedzenie było w lodówce. Warunki były wspaniałe. Mąż dostał też służbowy samochód.

JSz: A zatem mąż spełnił się na emigracji, znalazł swoje miejsce. A Pani?

BK: Ja też jestem inżynierem – włókiennikiem i odzieżownikiem. Zaraz po przyjeździe do RPA podjęłam pracę w fabryce, w swoim zawodzie – na podobnym stanowisku, które opuściłam w Polsce, bo zostałam szefem przygotowania produkcji. Dwie pensje, moja i męża, sprawiały, że musieliśmy płacić tak wysokie podatki, iż zdecydowaliśmy w końcu, że nie będę pracować. Pensja męża absolutnie nam wystarcza, ba, nawet mamy więcej pieniędzy niż wtedy, kiedy i ja pracowałam. A dzięki temu mogłam intensywniej zająć się działalnością społeczną.

JSz: Wiem, że wydaje Pani pismo „Wiadomości Polonijne" i dlatego właśnie została Pani zaproszona we wrześniu 2005 roku na XIII Światowe Forum Mediów Polonijnych do Tarnowa i na Śląsk. Co to jest za pismo, kiedy się narodziło, do kogo jest adresowane?

BK: Powstało w 1948 roku. Wówczas nosiło nazwę „Pod Krzyżem Południa". Mam parę archiwalnych numerów – było to bardzo ciekawe pismo. Potem jednak zmniejszyła się jego objętość do

kilku kartek, a zawartość ograniczała się do informacji o Polakach żyjących w Johannesburgu, imprezach polonijnych oraz do komunikatów. Przeżywało różne kryzysy, ale cały czas było wydawane. Ukazuje się 10 razy w roku, ma nakład 200 egzemplarzy.

Kiedy przejęłam kierowanie tym periodykiem, zmieniłam jego nazwę na „Wiadomości Polonijne" i poszerzyłam o przedruki artykułów z Polski, wiadomości dotyczące życia politycznego i kulturalnego w ojczyźnie. Staram się bowiem cały czas podtrzymywać w rodakach polskość i chronić mowę polską. Teraz pismo liczy 16 stron, czasami 18, ma format A4 i jest wydawane na naprawdę wysokim poziomie. Bo też i Polonia w Południowej Afryce jest elitarna. Bardzo dużo jest ludzi po studiach w Polsce: lekarzy, nauczycieli, inżynierów. Pismo jest czytane, o czym świadczą telefony będące reakcją na informacje czy artykuły. Często jest tak, że jeśli pismo dotrze w odległe zakątki, to rodacy odbijają na ksero po 10-20 egzemplarzy i rozsyłają dalej. To oznacza, że jest zapotrzebowanie na taką gazetkę. Czasami ktoś dzwoni albo pisze, aby mu przysłać egzemplarz.



Barbara Kukulska, Częstochowa, wrzesień 2005 r., fot. Janusz Szlechta.

JSz: Jak liczna jest redakcja? Kto finansuje pismo?

BK: Wszystko robię sama. Czasami pomaga mi moja córka Magda, która przepisuje teksty. Staram się oczywiście namawiać ludzi, aby pisali o sobie i innych, o różnych wydarzeniach, ale bardzo trudno jest osiągnąć ostateczny efekt – czyli artykuł. Jedynie moja mama Maria Dulska od czasu do czasu coś napisze.

Wiem, że na nią mogę liczyć, mimo że skończyła niedawno 96 lat. W Polsce była nauczycielką. Do dziś jest aktywna fizycznie i umysłowo. Na swoje 96. urodziny napisała bardzo ciekawy artykuł o tym, ilu to przeżyła papieży. Okazało się, że… dziewięciu. Urodziła się w 1909 roku, kiedy na Stolicy Piotrowej zasiadał Benedykt XV, a teraz doczekała Benedykta XVI. Nazywana jest „matką Polonii południowoafrykańskiej". Służy wszystkim radą i cieszy się wielkim szacunkiem. Dla mnie jest i powiernikiem, i doradcą, i pierwszym czytelnikiem. Jak usłyszę jej ocenę: *Basiu, jest dobrze. Nie zaniżaj poziomu!* – to jest to dla mnie największa pochwała, dodaje mi skrzydeł.

Pismo oczywiście nie przynosi żadnego dochodu, rozprowadzam je za darmo. Czasami ktoś da mi parę randów za gazetę. Mam stałych odbiorców, od których czasami dostaję dotację.

JSz: Jak liczna jest Polonia południowoafrykańska. Czy ma swoje organizacje?

BK: Polonia w Południowej Afryce, w rejonie Johannesburga i Pretorii – która jest zimową stolicą kraju (letnią jest Kapsztad) – liczy, według naszych szacunków, około 35 tys. osób. W Pretorii jest polska ambasada i konsulat.

Oczywiście, że mamy swoje organizacje. Ja jestem prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Założycielami tej

organizacji byli ci, którzy jako dzieci – przez Syberię – dotarli do RPA. Kiedy te dzieci dorosły, poczuły potrzebę utrzymywania kontaktów ze sobą i z krajem. I w ten sposób w Johannesburgu powstał Związek Osadników Polskich. Z tego związku wyłoniły się potem wszystkie polskie organizacje w Południowej Afryce. Jest ich teraz sporo: Zjednoczenie Polskie, Stowarzyszenie Techników, Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników, do niedawna istniało Stowarzyszenie Lekarzy, Rada Polonii. Jest również szkoła polska. Niedawno zorganizowałam zespół taneczny.

Stworzyłam też grupę sybiraków. Z okazji obchodów 65-lecia zbrodni katyńskiej rozpropagowałam w RPA apel, aby wszyscy ci, których ojcowie, wujkowie czy bracia zginęli w Katyniu, zgłosili się do mnie. No i zgłosiło się 15 osób. Zrobiłam to po to, aby wysłać do zarządu Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich w Warszawie informację o tych ludziach i zgłosić chęć współpracy.

JSz: Wróćmy do Zjednoczenia Polskiego – czym się zajmujecie?

BK: Organizacja liczy dzisiaj około 200 członków. Są też członkowie honorowi, rozsiani po całym świecie. Mamy liczne grono sympatyków, którzy uczestniczą w naszych spotkaniach, imprezach i uroczystościach. Przede mną prezesem Zjednoczenia Polskiego był przez 20 lat Jerzy Wallas. Dzisiaj liczy sobie 90 wiosen i mieszka w Durbanie, 600 kilometrów od Johannesburga.

Nazwałam go „tatą organizacji”, bo do dziś się interesuje naszymi problemami, często do mnie dzwoni i wspiera duchowo w różnych sprawach. Bywa, że całe noce spędzam przy komputerze, a w ciągu dnia dzwonię i jeżdżę, załatwiając różne sprawy czy pomagając rodakom w nieszczęściach. No bo jak trwoga, to do Basi!

Problemy są różne. W RPA można jechać samochodem 120 kilometrów na godzinę, ale bywa, że ludzie jeżdżą i 200 km. Kolej jest słabo rozwinięta, więc transport jest głównie samochodowy. Trasy są długie, na drogach jest mnóstwo ciężarówek, więc łatwo o wypadek. Jeśli wypadek ma Polak, który nie ma ubezpieczenia i nie zna języka, to wtedy często mnie proszą o pomoc. Mamy wielu polskich lekarzy, więc staram się ich mobilizować, aby bezinteresownie udzielili pomocy rodakowi. Przeważnie ze wszystkimi jestem po imieniu, bo to ułatwia kontakty.

Znałam kobietę, która wyszła na jakieś spotkanie biznesowe i nie wróciła. Po jakimś czasie znaleziono jej ciało. Prawdopodobnie było to morderstwo. Jej mąż był pochodzenia holenderskiego. Przepadł gdzieś wraz z 2-letnią córeczką. Dziadkowie, rodzice zabitej kobiety, poszukiwali wnuczki i nie mogli jej znaleźć. Wreszcie okazało się, że ojciec zostawił ją u znajomych Afrykańczyków i… zniknął na rok. Aby dziadkowie mogli zaopiekować się dzieckiem, musieli mieć decyzję sądu. Kiedy zwrócili się do mnie o pomoc, zajęłam się sprawą. Przemówiłam

do serc ambasadora i konsula. I rzeczywiście pomogli. Dziewczynka dostała obywatelstwo polskie i zajęli się nią dziadkowie. Była niedawno w Polsce. Teraz ma 10 lat.



Barbara Kukulska

JSz: Zjednoczenie Polskie przyczyniło się do postawienia pomnika Katyńskiego w Johannesburgu w 1981 roku. Podobno był to pierwszy taki pomnik poza granicami Polski…

BK: Trwają w tej kwestii spory. W Londynie mówią, że oni pierwsi postawili pomnik Katyński, bo już w 1976 roku. W

Australii taki pomnik stanął w 1980. Tyle że w Londynie pomnik znajduje się na cmentarzu, zaś australijski to wmurowana tablica w ścianę Domu Polskiego w Sydney. Tymczasem nasz, w Johannesburgu, jest to pomnik zbudowany w miejscu publicznym, na gruncie państwowym. Z okazji 20-lecia jego odsłonięcia zorganizowałam wielkie uroczystości, upamiętniające ofiary sowieckiej zbrodni w Katyniu.

Jest to pomnik unikalny. Wówczas, kiedy stanął, w Afryce Południowej obowiązywał przepis, że w miejscach publicznych nie wolno było stawiać krzyży. Jest tutaj wiele religii i chodziło o to, aby nie urażać niczyich przekonań. Dlatego architekci polscy wymyślili taki pomnik, aby nie budził zastrzeżeń. Stanęły więc dwie potężne bryły, z wybranym środkiem, a przez ten prześwit patrzy się w niebo i na tle nieba widać krzyż. Są ponadto wmurowane trzy tablice i ziemia przywieziona z Katynia.

JSz: Jest Pani również wiceprezesem Rady Polonii Afryka Południe. Organizacja ta próbuje spełniać rolę podobną do tej, którą pełni Kongres Polonii Amerykańskiej w USA. Czy jest możliwa jedna reprezentacja Polaków mieszkających w RPA?

BK: Jest to organizacja starająca się skupić organizacje polonijne i być ich reprezentantem. Do Rady należy sześć organizacji z różnych miast oraz Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników. Dostaliśmy dwa miejsca w parlamencie

południowoafrykańskim. Jeden mandat właśnie ja sprawuję.

JSz: Czy utrzymujecie kontakty z Polską?

BK: Oczywiście, organizacja ta reprezentuje również Polonię południowoafrykańską w kontaktach z polskim rządem i parlamentem. Udało się nam zainteresować Senat RP naszymi sybirakami. W 2004 roku zorganizowałam im wycieczkę do Polski. Niektórzy byli w kraju po raz pierwszy od chwili wywiezienia ich przez Rosjan na Sybir. Byliśmy przez dwa tygodnie goszczeni w Polsce, m.in. w Częstochowie. Była to 35-osobowa grupa, w większości ludzie około osiemdziesiątki, ale wszyscy doskonale znieśli trudy i nikt nie zachorował.

Była to specyficzna grupa osób – w 1940 roku zostali wywiezieni przez Rosjan na Syberię, w 1943 trafili do Republiki Południowej Afryki. 500 polskich dzieci, sierot, zostało przywiezionych w 1943 roku do RPA na czas wojny. Gościnny rząd – wówczas Unii Południowo-Afrykańskiej – przyjął te dzieci jako przyszłych obywateli. Zdecydowana większość tam została, założyła rodziny.

JSz: Mówiła Pani o kultywowaniu tego co polskie, o utrzymywaniu polskości. Czy ma to jakiś konkretny wymiar?

BK: Dwa lata temu założyliśmy Fundację Dziedzictwa Polskiego w Południowej Afryce. Jestem w ścisłym jej kierownictwie.

Fundacja ma za zadanie odszukiwać ślady po Polakach, którzy żyli w RPA i czegoś dokonali. Wiemy na przykład, że słynny pisarz Józef Konrad Korzeniowski (Joseph Conrad) mieszkał w tym kraju wraz z córką – w Petermagritsburgu koło Durbanu. Dużo pamiątek zostało po żołnierzach Polakach, którzy uczestniczyli w II wojnie światowej w mundurach armii brytyjskiej. W roku 1944 południowoafrykańscy lotnicy nieśli pomoc walczącej Warszawie. Z dumą mogę powiedzieć, że należę do komitetu obchodów rocznicy lotów nad Warszawę. Jeszcze kilku z tych lotników żyje. Co roku we wrześniu organizujemy obchody upamiętniające powstanie warszawskie i loty z pomocą dla powstańców. Te kontakty z Polakami dają im wiele radości.

Czasami łapię się za głowę, że już nie nadążam, za dużo tej pracy społecznej. Ale społeczników jest mało, a trzeba przecież coś robić, wyjść na zewnątrz. Mnie daje satysfakcję to, że można coś dla Polonii zrobić.



Johannesburg

Barbara Maria Józefa Kukulska *do Republiki Południowej Afryki wyjechała w 1982 roku wraz z mężem i dwójką dorastających dzieci: Magdaleną i Wojciechem. Mąż podjął pracę w biurze projektowym w zakładzie petrochemicznym, a Barbara od pierwszych chwil aktywnie włączyła się w pracę polonijną. Początkowo działała w miejscowości Secunda, gdzie była współzałożycielką organizacji Zjednoczenie Polskie w Secunda pod patronatem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Po przeniesieniu się w styczniu 1984 roku na stałe do Johannesburga, podjęła działalność w organizacji Zjednoczenie Polskie w Johannesburgu. Pisała pod pseudonimem krótkie felietony i reportaże do periodyku „Komunikat", wydawanego przez Zjednoczenie. W 1998 roku została sekretarzem tej organizacji oraz współredaktorką „Komunikatu", który z biuletynu został przekształcony w pismo „Wiadomości Polonijne".*

W kwietniu 2000 roku, na Walnym Zgromadzeniu, została wybrana prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Jednocześnie ambitnie podjęła się pracy dziennikarskiej i wydawania periodyku „Wiadomości Polonijne". Pracę prezesa i redaktor naczelnej „Wiadomości Polonijnych" Barbara Kukulska wykonuje nieprzerwanie do chwili obecnej. Co ciekawe, jest osobą pełniącą najdłużej funkcję prezesa i redaktor naczelnej pisma „Wiadomości Polonijnych" w ponad 67-letniej historii Zjednoczenia Polskiego.

Barbara M.J. Kukulska: *„Ponad 16 lat jestem prezesem największej i najstarszej polonijnej organizacji w Południowej Afryce. W społeczne działanie włączona jest cała moja rodzina, do niedawna jeszcze czteropokoleniowa. Moja matka Maria Dulska dożyła pięknego wieku 101 lat i praktycznie do ukończenia stu lat aktywnie pomagała mi w pracy: była korektorką pisma „Wiadomości Polonijne", odbierała telefony i udzielała informacji. Teraz tę rolę przejął mój mąż Marek, który od kilku lat nie pracuje zawodowo i bez reszty poświęcił swój czas na wspieranie mojej działalności jako prezesa organizacji, ale również w pracy redakcyjnej.*

Nasza Polonia starzeje się, bo od lat nie ma dopływu nowej emigracji do Republiki Południowej Afryki. Młodzi, którzy pokończyli tutaj studia, wyjeżdżają w poszukiwaniu bezpieczniejszego życia. Zostają tu Polacy, którzy przybyli podczas II wojny światowej oraz ci z emigracji solidarnościowej. Ci pierwsi czują się już za słabi, aby gdzieś tam rozpoczynać życie od nowa. Natomiast wśród Polaków, którzy przestali pracować zawodowo, jest silne pragnienie powrotu do Polski, względnie podążenia za dorosłymi dziećmi i wnukami, które wybrały życie w innych krajach: Australii, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych.

Kilka rodzin wróciło do Polski po ponad 30 latach. To są bardzo trudne decyzje i nie każdy ma odwagę i siłę na sprostanie tym

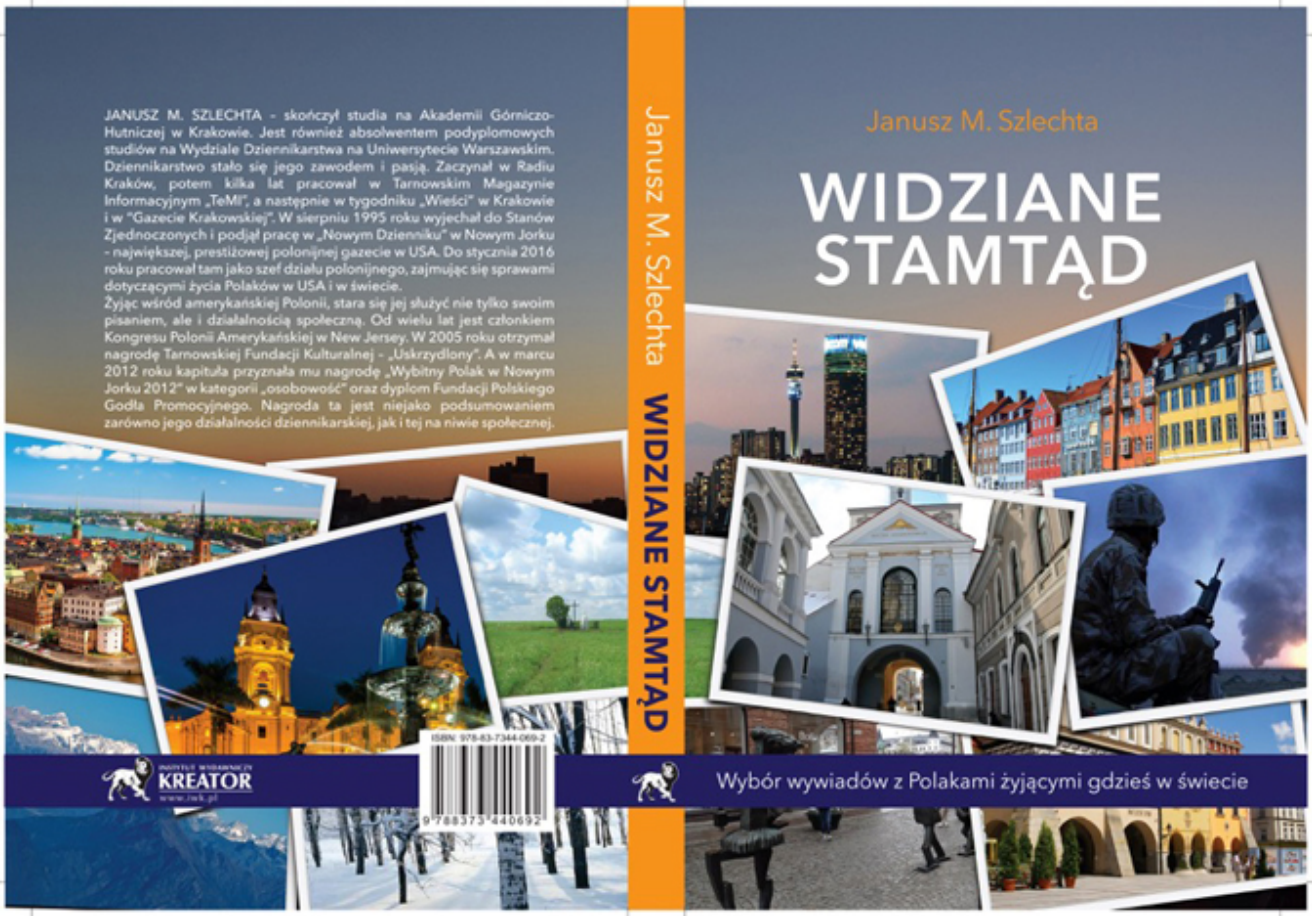
wyzwaniom. W podjęcie decyzji zaangażowane są całe rodziny, ale łączy się to z „rozdartym sercem", gdyż często bywa tak, że jedno z dzieci osiedliło się z rodziną na kontynencie australijskim, a drugie na amerykańskim. Wtedy wybór emerytowanych rodziców pada na Polskę. Powrót do kraju ojczystego po wielu latach to wielki stres związany z poznawaniem nowych realiów życia w Polsce.

My też rozważamy ewentualny powrót, gdyż w Krakowie przed dziesięciu laty osiedlił się nasz syn Wojtek z rodziną, a córka Magda mieszka w Johannesburgu. Jednak, gdy wnuk Filip skończy niedługo studia, to kto wie, czy córka nie przeniesie się wraz z nim do Anglii.

Praca na rzecz Polonii to ciągła dyspozycyjność, praktycznie non stop, przez wszystkie dni w roku, o każdej godzinie.

Tak, jest to uciążliwe, ale jednocześnie daje olbrzymią satysfakcję wypływającą z tego, że pomaga się potrzebującym. Bezinteresownie można służyć innym – i to jest tajemnica sukcesu i motor do działania. To również daje siłę wewnętrzną do przeciwstawienia się słabościom".

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie", wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.


JANUSZ M. SZLECHTA - skończył studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jest również absolwentem podyplomowych studiów na Wydziale Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Dziennikarstwo stało się jego zawodem i pasją. Zaczynał w Radiu Kraków, potem kilka lat pracował w Tarnowskim Magazynie Informacyjnym „TeMI", a następnie w tygodniku „Wieści" w Krakowie i w "Gazecie Krakowskiej". W sierpniu 1995 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i podjął pracę w „Nowym Dzienniku" w Nowym Jorku – największej, prestiżowej polonijnej gazecie w USA. Do stycznia 2016 roku pracował tam jako szef działu polonijnego, zajmując się sprawami dotyczącymi życia Polaków w USA i w świecie.
Żyjąc wśród amerykańskiej Polonii, stara się jej służyć nie tylko swoim pisaniem, ale i działalnością społeczną. Od wielu lat jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej w New Jersey. W 2005 roku otrzymał nagrodę Tarnowskiej Fundacji Kulturalnej – „Uskrzydlony". A w marcu 2012 roku kapituła przyznała mu nagrodę „Wybitny Polak w Nowym Jorku 2012" w kategorii „osobowość" oraz dyplom Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego. Nagroda ta jest niejako podsumowaniem zarówno jego działalności dziennikarskiej, jak i tej na niwie społecznej.
KREATOR
ISBN: 978-83-7344-069-2
9 788373 440692
Janusz M. Szlechta
WIDZIANE STAMTĄD
Janusz M. Szlechta
WIDZIANE STAMTĄD
Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie

”